NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.
Prenumeratę przyjmuje **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 50.723**, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XI. **Kraków, 7 marca 1914.** **Nr. 10.**

Narodziny nowego państwa.

(Treść na str. 2).



Narodziny nowego państwa.

(Do illustracyi tytułowej).

Okólną drogą z Rzymu na Paryż, Londyn, Berlin, Wiedeń i Petersburg jedzie do swego państwa najświeższy z panujących w Europie książę Wied — odwagi i w tym tygodniu ma wreszcie przybyć do swego państwa. Wjazd jego zapowiedziany jest bardzo uroczyście, z Tryestu do Durazzo eskortować go będzie flotylla międzynarodowa, a po skończonej paradzie przejmie go na miejscu przygotowująca mu państwo komisya, miejscowe deputacye, kojnie fotografować, jak to przedstawia jedna z naszych illusracyj. Książę Wied obmyślił już sobie mundur koloru jasno-szarego w stylu turecko-albańskim; tak jak go przedstawiamy, o księżnej zaś piszą, że do nowej sytuacyi przygotowuje się bardzo pilnie ucząc się nosić zasłonę na twarzy oraz culloty, jak każe moda niewieścia muzułmańskiego wschodu. Nasza fotografia jest ostatnią w sukni paryskiej, których w obecnym sezonie księżna nie będzie już sprawiać.



Narodziny nowego państwa: Komisya międzynarodowa do kontroli nad Albanią oraz holenderscy organizatorowie żandarmeryi.

Przedwstępne więc ceremonie i przygotowania skończone, komisya międzynarodowa, której fotografię też podajemy, zorganizowała już policyę i żandarmeryę, wtem jak ostatnie depesze doniosły w południowej Albanii, w Epirze urządzili sobie tamtejsi obywatele greccy powstanie, które zagraża spokojowi w całem państwie. Eiproci t. zw. tamtejsi mieszkańcy słyną z upodobania i wprawy w urządzaniu powstań i rewolucyj. Interweniował już rząd grecki, lecz powstańcy dzieło prowadzą *con amore*, rozprując muzułmanom brzuchy i nie chcą, ani podobno umieją określić celu tych krwawych żartów. Tak więc narodziny nowego państwa albańskiego odbywają się wśród bardzo ciężkich warunków, jeszcze nie powstało właściwie, a już ma rewolucyę. Epiroci są zdania, że gdy Albania zdobyła sobie niepodległość to podobny los mógłby sobie zgotować także Epir. Na razie więc inscenizują sobie pogromy i rzezie, by nie wyjść z wprawy z nadzieją, że może coś wskórają.

Wilhelm I albański. Pałac królewski, urządzony przez wiedeńskich tapicerów, czeka przybycia gospodarza, stolica państwa — Durazzo — podobno, jak twierdzą złośliwi korespondenci pism codziennie, i to nawet w muzułmańskiej dzielnicy, bywa skrzętnie zamiatana, „Europa patrzy“ na to ciekawie, a książę Wied jedzie z pośpiechem pociągów towarowych. I nie dziwota, że mu się zbytnio nie spieszy, najsolenniejsze zapewnienia o życzliwości dworów europejskich nie zapewnią stanowczo nowemu królowi, czy poddani jego, gdy przyjdzie im taka ochota nie skrócą go przypadkiem — o głowę. To też młody władca jedzie długo, jakby nabierając po drodze uradowani obywatele i... strach, ten punkt nie objęty jest jednak oficyalnym programem przyjęcia. Chociaż jakby gwarantowała wylana serdeczność Albańczyków okazywana ks. Wiedowi podczas przyjęcia deputacyi zapraszającej go na tron, w zamku Neuwied królowi, a właściwie „moret'owi“ bo taki ma mieć tytuł w dźwięcznym języku albańskim, przynajmniej na razie nic nie zagraża. Deputacya ta prowadzona przez Essada paszę przywiozła królowi grudki ziemi i wodę z kraju, członkowie jej okazywali się być zachwyconymi tak swym monarchą jak i jego czarującą małżonką księżną Zofią. W szczupłym zamku Neuwied czuli się wyśmienicie i dali się nawet spo-

Nasza tytułowa illustracya przedstawia jeden z momentów powstania w Epirze.

Nowy kurator Ossolineum.

Wspaniała nasza książnica i muzeum powszechnie zwanem Ossolineum obchodziła w tych dniach rzadką





Narodziny nowego państwa:

Ks. Wilhelm Wied w królewskim stroju albańskim.

Przyszła władczyni Albanii ks. Zofia Wied.

uroczystość. Dnia 28 z. m. odbyło się w prezydyum krajowego sądu cywilnego we Lwowie uroczyste zaprzysiężenie nowego kuratora ekonomicznego zakładu p. Michała Baiera. W akcie tym wzięli udział reprezentanci władz krajowych, sądu, m. Lwowa, oraz zakładu z kuratorem literackim, Andrzejem ks. Lubomirskim na czele. Uroczystości nadano okazalszy charakter, od ostatniego bowiem zaprzysiężenia kuratora upłynęło już prawie pół wieku - od roku 1867 aktu tego z powodu braku kandydatów na stanowisko kuratora zaniechano.

Zaprzysiężenie odbyło się w obecności licznie zebranych gości — akt ten odbywa się publicznie przy udziale delegatów namiestnictwa, Wydziału krajowego oraz zastępcy marszałka krajowego. Po przemówieniu prezydenta sądu krajowego p. Łuczkiewicza, który zebranych objaśnił o doniosłości aktu a kuratorowi Baierowi zwrócił uwagę na ważność przysięgi, treść jej odczytał radca sądu Warmski, a nowy kurator za nim ją powtórzył. Po tej ceremonii obecni delegaci władz podpisali akt, na czem zakończono uroczystość.



Nowy kurator Ossolineum: Dr. Michał Baier.



Nowy kurator Ossolineum: Uroczystość zaprzysiężenia nowego kuratora dra Michała Baiera.

Po długich więc latach otrzymała wiekopomna fundacya Józefa Ossolińskiego nowego gospodarza i administratora.

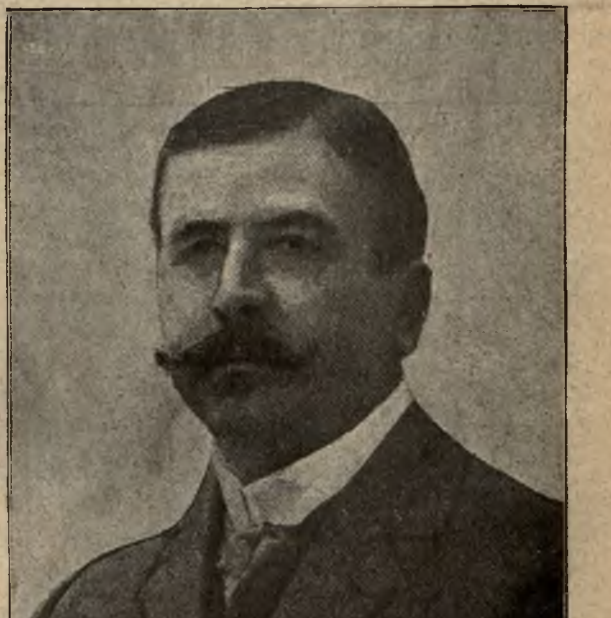
Nasze fotografie przedstawiają chwilę składania przysięgi przez nowego kuratora, jego podobiznę i gmach Ossolineum.



Nowy kurator Ossolineum: Gmach zakładu im. Ossolińskich we Lwowie.
(Fot. M. Waydowicz, Lwów).

Polak członkiem akademii paryskiej.

Naukę polską spotkał zaszczyt nielada — oto w tych dniach jednego z jej luminarzy doktora med. Józefa Babińskiego, sławnego neurologa powołała paryska akademia medyczna do grona swych członków. Józef Babiński, pracujący praktycznie i naukowo od lat trzydziestu w swej specyalności uważany jest za najpierwszą powagę w dziedzinie neurologi a olbrzymia suma (207) jego prac naukowych stawia go w rzędzie najwybitniejszych uczonych Europy. Urodzony w 1857 w Paryżu — tam się wychowywał i kształcił zachowując jednak swą polskość i patryotyzm, jaki panował w domu jego ojca. emigranta. Wykłady prof. Babińskiego. które ma w letnich senestrach w paryskim szpitalu Pitié gromadzą setki słuchaczów, dom zaś jego jest ogniskiem życia towarzyskiego polskiej koloni nad Sekwaną.



Polak członkiem akademii paryskiej: Dr Józef Babiński, nowy członek Akademii med. w Paryżu.

Jeden z najpiękniejszych zakątków świata.

Znajduje się on w Palestynie, Ziemi Swiętej, a znany jest on dobrze wszystkim pielgrzymom do Jerozolimy, albowiem zawsze prowadzi ich tam gorliwa pobożność. Do Ogrodu w Getsemanii prowadzi droga z Jerozolimy przez bramę Wschodnią, poczem przechodzi się wyschnięte łożysko potoku Cedron przez mały mostek kamienny. Ogród w Getsemanii pamiętny Męką Pańską, rozciąga się u stóp góry Oliwnej. Tam Chrystus często przebywał ze swymi uczniami, tam udał się po Ostatniej Wieczerzy, aby przyjąć kielich męki z rąk Ojca, a później być wydanym żołdakom rzymskim i pachołkom arcykapłana przez zdradziecki pocałunek Judasza.

Obecnie ogród w Getsemanii jest to czworoboczna przestrzeń, otoczona murem z białych kamieni, wewnątrz której znajduje się kilka tysiącletnich drzew oliwnych, o pniach olbrzymich, podobnych do skał i o niezliczonych gałęziach. Ogród ten należy do Franciszkanów, którzy powznosili tam kamienne „stacye“ drogi krzyżowej, a ogród przeżnęli we wszystkich kierunkach alejami wysypanemi piaskiem, pośrodku ich są okrągłe gazony pełne kwiecia wspaniałego.

Amerykański gość.

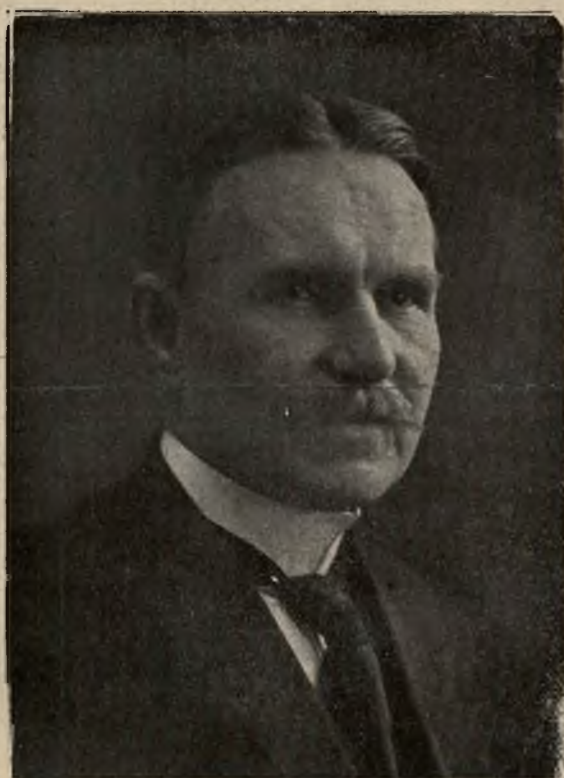
Od kilku lat uniwersytety europejskie i amerykańskie zaczęły praktykować „wymianę“ profeso-



Szturm kobiet do Sejmu: Obrady wiecu kobiet we Lwowie.

rów. Polega ona na tem, że profesorowie dajmy na to, angielscy, przybywają na jakiś czas na wykłady do uniwersytetów niemieckich i vice-versa. W ten sposób słuchacze za pośrednictwem żywego słowa poznają się ze stanem myśli naukowej, instytucyami, urządzeniami, obyczajami narodu i kraju, skąd taki „wymieniony“ profesor przybywa.

Z racyi takiej „wymiany“ wykłada już jakiś czas na uniwersytecie wiedeńskim amerykański uczony, G. Fullerton, prof. uniwersytetu w Nowym Jorku. Chcąc dać i Galicyi sposobność słyszenia amerykańskiego profesora, a nawzajem jemu możność poznania naszego kraju i obu jego wszechnic, najpierw Uniwersytet Jagielloński zaprosił go do Krakowa, później Pol. Tow. Filozoficzne do Lwowa. Uczony amerykański gość w obu miastach wygłosił wykłady (w języku niemieckim), które zgromadziły bardzo wielką ilość doborowych słuchaczy.



Amerykański gość: Prof G. Fullerton.

Amerykański gość, mężczyzna około 50 letni, z surową, ale sympatyczną twarzą o przenikliwych i żywych oczach, zrobił na słuchaczach obu stolic Galicyi bardzo miłe wrażenie; także i wykład jego, jasny, obrazowy, bezpośredni, poparty wyrazistą gestykulacyą podobał się ogólnie. Na cześć sympatycznego amerykańskiego gościa w obu miastach urządzono towarzyskie zebrania, w których wziął udział polski świat naukowy i literacki. We Lwowie przyjął go także namiestnik Korytowski.

Odzyskany budynek OO. Jezuitów we Lwowie.

Przyległy do kościoła Jezuitów stary obszerny budynek, ciągnący się na długiej przestrzeni ulicy Teatralnej, ongi klasztor jezuicki, wraca do swych dawnych właścicieli, którym rząd ma gmach ten niebawem już odstąpić.

Obszerny ten budynek, powstały, jak wskazuje zamieszczona na przyczółku data, w r. 1723, mieścił obok klasztoru także i szkoły jezuickie. Po zniesieniu przez papieża Klemensa XIV. w r. 1773 zakonu Jezuitów, zabrał rząd majątek zakonu. Świątynię uczyniono kościołem wojskowym, a gmach klasztorny z długiemi o łukowych sklepieniach kurytarzami i obszernemi salami przemieniono na urzędy. Do r. 1848 mieściło się tu t. z. gubernium i prawie wszystkie władze rządowe. Dziś znajdują tu pomieszczenie biura Sądu krajowego i część biur krajowej Dyrekcyi skarbu, które będą przeniesione do nowych budynków, jakie w najbliższej przyszłości mają być wzniesione.

Fasadę gmachu zdobi piękna renesansowa brama, dobrze jeszcze utrzymana.



Nowy rosyjski minister skarbu Bark.



Odzyskany budynek OO. Jezuitów we Lwowie: Główne wejście.



Odzyskany budynek OO. Jezuitów we Lwowie: Gmach poklasztorny, zwrócony zakonowi OO. Jezuitów.

J. POWALSKI.

•• SZTANDARY •• KSIĘCIA JÓZEFA.

10

Ruszyli w drogę.

— Może tego pożałuję, — rzekł Bromirski po chwili. — W momencie głodu robi się wiele, czego się nie przyjmie na syto. Koń jest jak towarzysz: trudno zjadać towarzysza. Szlachecki honor wyrósł na dobrej paszy, myślę, i wzmocnił się w ludziach silnych, wykarmionych, i zwycięskich. W głodzie i nagości nędzarzy traci sens. Ale cóż sensu nie traci w obliczu śmierci, głodu, albo miłości? Jest to jakby mocowanie się z nędzą naszego przyrodzenia. Kiedy uda nam się stać się niezależnymi od głodu, mrozu, nędzy, miłości, tworzymy sobie prawa wedle naszego smaku, sprzeczne ze smakiem natury, której gust możemy obserwować w życiu zwierząt, gdzie słabszy jest jedzeniem dla mocniejszego.

— Co za łajdaki, — rzekł Ignacy. — Bydlęta, tchórze! Nasiby tego nigdy nie zrobili. Do tego trzeba Niemców, już ja ich znam.

Szli znowu w milczeniu.

— Nic się nie rozwidnia, — zauważył Bromirski.

— Chmury śniegowe na całem niebie, — rzekł Ignacy. — Pewnie dlatego.

Drogę łatwo było poznać, mimo ciemności, po wybojach pod śniegiem i po leżących trupach, na których się nieraz potykali.

— Żebym już znalazł tę moją kompanię! — niecierpliwie cisnął się Ignacy. — Niemożliwe, żeby się rozsypała. Musi gdzieś być i ma konie, żywność pewnie..

Droga zaczęła się wznosić powoli. Szła jakimiś pagórkami, pokrytymi zaroślami. W mroku już coś po niej zaczęło się ruszać. Szli ludzie, jechały jakieś furgony po jednemu.

— Zdaje się, że ciągle jesteśmy w ogonie armii,— rzekł Ignacy. — Żeby można przeciąć bokiem, przez pola, tobyśmy może wyszli na środek, i łatwiej znaleźli swoich. Tylko czy kolega zdołałbyś?...

— Jeden dyabeł, — odparł Bromirski. — Jakoś nieźle maszeruję. Podreperowałem się przez tę jazdę i dobry nocleg. Byle nas kozacy nie dopadli.

— Żeby jeszcze co dostać do jedzenia, — rozważał Ignacy, któremu zbliżanie się do owych zdala już widzianych ognisk, podsuwało nieokreślone nadzieje.

Ogniska rozłożone były na zboczu pagórka, pod który wspinała się droga, zwracając jednak w przeciwną stronę.

— Niema co, — rzekł Ignacy, — chodźmy do nich. Może czego dostaniemy. Widać rozłożyli się w zaroślach, żeby do nich nie leźli z drogi, a nie wiedzieli, że ich widać z dołu.

— Może dośpimy przy nich do świtu, a przynajmniej dosiedzimy, — powiedział Bromirski.

Puścili się zaroślami w lewo, gdy droga skręcała w prawo.

Wyszli przed ogniska. Było ich trzy, między niemi i wokół nich gęsto leżeli ludzie.

Widać spali, gdyż żaden nie ruszył się. Wobec tego przybysze zbliżyli się aż do leżących, nic nie mówiąc.

— Martwi, — rzekł cicho Bromirski, który schylił się i pomacał wreszcie twarze bliższych. — Spali przy ogniu i pomarzli.

— Odciągnę ich na bok i siądziemy, — powiedział Ignacy.

Schylił się, i dźwignął jednego pod ramiona. Sztywny i ciężki był jak kłoda.

— Te, towarzysz! — ozwał się niespodzianie w ciszy schrypły i zamulony głos z pośród tych, co leżeli między ogniskami. — Nie bierz się psia mać do ognia, bo cię tu wnet...

Dźwignął się zamaszysty chłop, odziany w wielkie futro.

Niespodziany dźwięk swojskiej mowy zmienił jakby położenie w pierwszej chwili. Bromirski i Ignacy, mile zaskoczeni, zapatrzyli się na wstającego.

— Prec! — rzekł chłop, wyraziście gestem po kazując im na ciemne zarośla. Ale! Ale! — dodał po francusku, polskim akcentem. — Kas la tet! — pogroził.

— Ci pomarźli, — odpowiedział Ignacy. — Nas tylko dwóch, siądziemy na ich miejsce.

— Takieście ptaszki! — rzekł chłop, nagle wstając na nogi.

Inni już się pobudzili i dźwigali się, z nagle obudzoną ciekawością obracając się ku intruzom. Była w tem jakaś żywość i zajęcie, które dały uczuć obu przybyszom nowe niebezpieczeństwo.

Uczuli się, jakby zwierzyną.

— Zabierajmy się, — szepnął Bromirski.

Ale było już zapóźno. W jednej chwili otoczono ich, przytrzymano.

— Ludzie! — zawołał Ignacy. — Czego chcecie? Przecież my swojacy!

Jak na zaprzeczenie jego słowom, ten, co go chwycił, sapał mu w ucho:

— *Si je te casse la gueule... cré nom...*

Banda była jak zwykle mieszaniną różnych narodowości.

— Takie same nasze łachmany jak i wasze, — w tarmoszeniu mówił Bromirski.

Przewrócono ich, obdarto. Zszarpywano buty, niemal wykręcając nogi w stawach.

— O, widzis! Galante buty ma! — Musi oficer. — I piniondze. *Sacramento...*

Obdzierani milczeli, zdyszani w szarpaninie. Nie bronili się. Trzymały ich żelazne łapy, które ściskały gardła, darły szponami po ciele, zdzierając ubrania. Dopiero po pierwszej chwili poczęli się wyrywać. Obrzydliwość i upokorzenie tego obmacywania, zdzierania, oglądania, szarpnęła nimi, sprężyła wszystkie siły do oporu.

— No! teraz ich puśćcie — odzywały się głosy. — *Laissez.*

— Do jidzenia to ta nimają nic. — Ino swoje mięso. — Chy!... to weź!

— *Bouge pas...* — charczał groźnie ten, który trzymał Ignacego. — *Je ne m'amuse pas, tu sais... J' t' étrangle, si tu bouge...*

— Ten stary, a tak to wirzga — no! — słyszał Ignacy chwilami wśród szamotania głosy nad Bromirskim, i razy padające na jego ciało.

Zdławiono ich, przysiędziono. Wśród zmieszanych sapań i szamotania dyszały pogróżki, rady, by zakłuć obdartych.

Nagle wszystko pierzchło.

Ignacy odetchnął i podniósł się na łokciu, jak z jakiegoś strasznego snu. Ogniska przybladły, na świecie pobielało. Ujrzał pierzchających w zarośla ku drodze chłopów. Za nimi, z przeciwnej strony, sypały się na małych konikach kosmate, krótkie, dzikie postacie, skurczone, jak koty do skoku.

Zdrętwiał. Poznał, że przyszła śmierć. Kozacy zaraz ich zakłują.

Rzucił okiem: zarośla wszystkie tak daleko, że nim doskoczy, kozak go dopadnie.

Osunął się i legł nieruchomo. Pomyślał, że może to jedno ich ocali. Bromirski leżał bez ruchu.

— Może go zabili, — może omdlał. Byle się nie ruszył, — mignęło mu w myśli.

Leżąc patrzył jak urzeczony w pędzące bokiem kozackie konie. Było coraz widniej. Kozacy przebiegli i więcej już ich nie było.

Ognie dogasły. Było mu przeraźliwie zimno. Hamował dreszcze, które go chwytały i trzęsły, jak liść osiny. Wszystkie jego myśli, cała usilność skupiły się na tym jednym wysiłku. Zęby chwilami szczękały mu, jak klekotka, członki dygotały, nie słuchając skurczonych z wysiłku mięśni.

Tymczasem ciągle nic się nie ruszało. Ignacy zamglonemi oczyma wypatrywał jeszcze kozaków. Myślał, że będą lada chwila wracali.

Nagle spadło coś lekko, z szumem przed nim na śnieg. Była to wielka wrona. Pomaszerowała żwawo do zmarzłych trupów. Ignacy dźwignął się. Wrona kraknęła i odskoczyła kilkunastu skokami, podleciała na zarośla.

Ignacy wstał, chwiejąc się. Był bosy, w bieliźnie szarej, brudnej. Ruszył ku Bromirskiemu. Ten był jeszcze więcej obdarty. Koszula leciała w łachmany. Nogi miał w swych szmatach, kolana nagie, twarz okrwawioną.

Ignacy, zrezygnowawszy z ostrożności, dźwignął towarzysza z ziemi. Nabrał śniegu, i oparłszy oszołomionego o kolano, jął mu nacierać czoło, kark, piersi. Robił to machinalnie, bez ochoty.

Bromirski przyszedł do siebie. Przyduszono go podczas szamotania. Powiedział, że ma nudności i bóle wewnątrz. Wstał jednak i poszli. Na trupach zmarzłych były łachmany, których nie było co zdejmować. Zresztą należało się spieszyć w krzaki. Pobrnęli w zarośla, dygocząc z zimna.

Rozwidniło się tymczasem zupełnie. Wschód oblał się pomarańczowem światłem. Śnieg przestał padać już od jakiegoś czasu. Resztki chmur schodziły z nieba, rozpływając się po krawędziach mgłą buro-żółtą od nasiąknięcia światłem. Z pod nich wychodziło niebo jasne, szczery błękit zimowej pogody.

Ze złotych i pomarańczowych obsłonek zorzy wypłynęło czyste, przecudne słońce. Zarośla, obwieszone śniegiem, zmieniły się w czarodziejskie ogrody, w pałace zaklęte. Porumieniały od światła, ziskrzyły się tęczowo. Rozpuściły cienie błękitne, cienie fioletowe i półcienie różowo-modre. Puchy śniegowe lśniły złotą białością, tryskającą ognikami przeczystych barw tęczowych, gdzieindziej oblekały się w biel matową, cichą, łagodną, zadumaną, schodzącą w modre cienie. Po przez gałęzie przemykały się zwinnie rzeźwe ptaszki. Fertały się na gałązkach, strącając jak z figlów sypki piasek śniegu. Powietrze błękitne, pełne światła, stało się jakby żywą istotą, radością kąpiącą, rzeźwiącą śniegowe czary, które zakwitły jak kwiaty, rozwinięte w ciągu jednej nocy.

Ignacy szedł naprzód, Bromirski w jego tropy. Szli i przystawali bez ruchu, nasłuchując. Nic nie było słychać, prócz rzadkich szczebiotów ptasich, i gdzieś krakania zmarzniętych wron.

Chcieli wyjść aż na wierzch pagórków, spuścić się na przeciwną stronę i tamtędy wrócić na drogę, gdyż, jeśliby teraz już poszli ku drodze, mogliby spotkać się z kozakami, którzy w tym kierunku pobiegli.

Taki plan rozwinął Ignacy. Bromirski odpowiedział tylko:

— Byle iść, póki można.

Szli więc ku górze, jak dwa widma nędzy: bosi, gołogłowi, pokrwawieni, w szmatach bielizny na grzbiecie.

Kroki ich, z powodu zimna, które wprawiało w drgawki konwulsyjne ich ciała, stawały się trudne i niezdarne. Wkrótce nogi ogarnął ból niezności. Krwawili śnieg, idąc. Ignacy wyłamał tężejącą na kość ręką dwa kije. Tymi próbowali ziemi przed sobą. Zdarzało się bowiem, że ostrożnie stąpając, nabijali obolałą stopę na ostre jak gwoździe kolce połamanych i ukrytych pod śniegiem gałęzi, sęków. Krew szła i marzła, w ranę nabijał się śnieg, grudki ziemi, patyczki, rozdzierały ją i krwawiła ciągle ciepłą, nową krwią. Ciało tężało tak, że dreszcz wydzierał się z niego z bólem, od którego ściskały się zęby rozklekotane.

Wszystko, co trwa, staje się normą, zwyczajną rzeczą. Trzeba pewnego wysiłku, dzielności myśli, by wyjść ponad tę zwyczajność. Cierpienie może tak samo spoić, uśpić, odrętwić ruchliwość, jak i zorganizowane powodzenie. Szli przed siebie z pilną wytrwałością, mocując się z okropnem zimnem, zrezygnowani na szarpnięcie bólu przy każdym kroku.

Słońce kładło się na nich lekkiem złotem, naprzemian z pręgami liliowego cienia, które sunęły po ich grzbietach przy każdym ruchu. Sikorki modrogłowe pierzchały z krzykami raźnej baczności. Kryształowe puchy śniegu sypały się na włosy, na barki, na plecy. Biały, głęboki puch na ziemi kąpał ich nogi aż po kolana, moczył bieliznę, nagrzaną przy ciele, która tężała i przyklejała się do skóry, jak zatrute szaty Herkulesa.

Ale oni nie czuli ani śniegu na barkach, ani darcia przymarzłej skóry, ani bolu rozpuchłych i piekących się krwią nóg. Pogodzili się jakby, w uciszonych głowach, z obrotem swego losu i czując jego grę już na ostatniej napiętej strunie, gdzie z jednej strony jest śmierć, a z drugiej życie, cierpliwie dążyli z powrotem do ludzi dla ratunku.

— Pamiętasz, — rzekł Bromirski niewyraźnie, — tego oficera Westfalczyka, który szedł drogą?

— My nie możemy zginąć, — odpowiedział mu Ignacy po chwili, zmienionym z zimna głosem.

— Dlaczego? — spytał po czasie Bromirski, jak echo.

Doszli płaskiego wierzchu wzgórzy i poczęli powolutku i ostrożnie nasłuchując, schodzić na drugą stronę. Były tu zarośla wyższe, młody las już podpędził w górę. Zeszli w niebieski cień.

Ignacy zdrętwiałą myślą usiłował złowić racyę swej pewności. Bo miał pewność. Ale cokolwiek, jako powód, do niej dostawiał, wszystko odpadało jak niemocna słomka. Wtem stało mu się jasne, dlaczego. Przywarł do tego gorącego słońca, jak kleszcz.

— Dlatego, — powiedział trzęsącym się głosem,— że tak nie może zostać — w Polsce... Wszystko czeka... Teraz taka klęska...

— Głupiś, — rzekł Bromirski. — Już przyszła śmierć.

— Nie przyszła, — odparł Ignacy, prostując się. Zaraz jednak skurczył się znowu od okropnego dygotania roztańczonych od mrozu członków.

Trafili na nocnym śniegiem wysianą ścieżkę, znaczną po dołkach śladów. Ciął tu nogi jak brzytwą cieniutki lód, zaszkliwiający stary śnieg pod spodem. Trzymali się jej jednak, zważywszy, że może wiodła do ludzi.

— To dziwne, — rzekł Bromirski, — nigdym na Litwie i w tych lasach nie był, a marzy mi się

tutaj o to, im dłużej idziemy... Marzy mi się dom rodziców i lasy, gdziem bywał chłopcem...

Schodzili w wielką dolinę, której nie widzieli, będąc w gęstwie młodego lasu. Ale im niżej, tem się głębiej zanurzali w stojące tu nieruchomo cieniste powietrze, jak odrętwiałe lodowate jezioro, zakryte pagórkami, jak tamą, od jasnego słońca.

Z tamtej strony, z której przyszli, tańczyły iskry tęczowe, lśnił się jak śmietanka puch śniegu, szczebiotały żywe ptaszki w lekkiej, słonecznej kąpieli żywego powietrza.

Tu milczał osędziały w śniegu nocnym las, w niebieskich cieniach, w szarzyźnie mroźnej. Żarł mróz z obu stron, ale tu było nieruchome, lodowate tchnienie ciszy i śmierci zimowej.

Bromirski jednak, jakby mu zelżały członki, jakby rozluźniła swoje szpony dławiąca ich obu męczarnia, mówił dalej z cicha i pewnie, jakby przeniesiony w daleką odległość:

— Tylko, że tam była wiosna, a tu zima. Ziemia była wygrzana i pełna ciepłej, młodej trawy. Słońce zachodziło i ptaki szczebiotały na sen, ale, choć szła noc, wszystko, co żyło, nie ustawało w rośnięciu i pączki otwierały się w ciepłym zmierzchu.

Osiekli mnie bywało, a ojciec, sługa pański, bał się panu bronić. Nienawidziłem ojca, bo mnie hańbiła jego pokora. A nauczyłem się kochać matkę-ziemię.

Pamiętasz, jakeś mi mówił, jak to z chłopami-żołnierzami żyjesz w swojej kompanii, w artyleryi, za pan brat? Jam żałował, żem sam nie był chłopem. Chciałem mieć najgorszą pogardę najgorszych na sobie i gardzić nią i iść, o nic nie dbając. Zdawało mi się, że góry rozniosę. Taką niezawodną wydawała mi się moja własna siła i szczęście. Kiedy przychodziły hańby publiczne, rozdarcie ojczyzny, zdrajcy, przedawczyki, kiedy zdało się, jeden cmentarz u nas, na którym hańba śmieje się i kracze, mówiłem sobie z towarzyszami: to nic! Z popiołów odmłodzony Feniks, złoty ptak wolności, odradza się i wyleci! Taką niezawodną naukę widziałem w wiośnie tej, co co roku zimę zwycięża i świat odradza. Jednakże inne jest jakieś tego, co się dzieje, prawidło i nie rodzi się z hańby chwała. Wydawało mi się, że nasza droga jest jasna i to, cośmy zrobili, idąc za Napoleonem. Teraz nie wiem, co z tego wyniknie. Zostanie ojczyzna wyłuskana z najlepszej siły, i nadzieje strute. Ku czemu to wszystko idzie?

Będą krakać kruki, zaleją kraj. Duch, który powinien być, wiem, że zostanie, będzie się kołatał: ale na czem się oni oprą, ci prawi, na czem teraz się osadzą, by się nie dać? Na czem, o Boże?

Ustawał i znów podnosił głos i mówił. Ignacy słuchał ze zgnębieniem, i obrazy sunęły przed nim za zasłoną wpół przejrzystą, która zmieniała je na majaki, jak w gorączce. Zdawało mu się, że gdzieś zostawił konia i chwytał go strach, że mu przepadnie. To znów zdawało mu się, że słyszy rozmowę gromką, ale obojętną, prowadzoną przez znane głosy. Postanowił usiąść i wypocząć. Po chwili rzeczywiście ocknął się, siedząc; ale Bromirski szarpał go i potrząsał, mówiąc, że czuć dym i że trzeba iść.

Poszli dalej wśród białego od śniegu i siwego od gąszczu gałęzi lasu. Aż weszli na jakiś dziedziniec, gdzie były po bokach budynki i kupy mierzwy, a wprost ganek mały, na dwu słupach, z dwoma ławkami po bokach. Weszli na ten ganek i siedli na ławkach. Po pewnym czasie drzwi się otworzyły i ktoś wziął ich do wnętrza, gdzie było bardzo ciepło i ciemno.

XII.

Był sen, sen i sen, nieprzespany.

W tym śnie schylały się nad nimi, przesuwały się koło nich maski obce, straszne, niezrozumiałe, zmory senne, widziadła okropne.

Jedna maska miała twarz strasznej matki: siwe włosy, oczy wytrzeszczone, groźne, zmarszczki, ryjące zaciętość i zastygłe przerażenie.

Tak się widuje w koszmarach przemienioną drogą i znaną twarz dobrej matki, na jawie jasną i uśmiechniętą pobłażliwie.

Druga była twarz kudłata, wypatrująca, chytra, czemś okropnem grożąca, coś obmyślająca wrogo.

Trzecia była maska miażdżąca pogardą, depcząca spojrzeniem, niedosięgła, niezniszczalna. Miała straszne, wspaniałe oczy zielono-szare, jak krynice ze światłem na dnie niezgłębionem, usta zaciśnięte surowo, jak krew. Włosy z czoła odwiane, pewnie w burzy. Szyję długą, giętką, gładką jak wąż, brwi jak wężyki czarne, i węże czarnych włosów, które gdzieś na szyi wiły się, jak żmije. Twarz gładką, zimną, białą.

Wśród tego spali, gnieceni przerażeniem, walczący ze zmorą, chcący uciekać i nie mający siły ruszyć nogą ni ręką, jak paraliżem związani.

Ignacy ocknął się słaby i nieświadomy siebie, jak dziecko. Przed oczyma miał ciemność, w której nic nie rozpoznawał.

Z chwilą, gdy drżący i spocony z przerażenia obudził się i wyszedł ze snu, uczuł, że ciemność, otaczająca go, nie ma nic wrogiego. Owszem, jest pełna ciepła, zakryta przed światem, dobra, jak matka dla dziecka. Obróciwszy się gdzieindziej, wyraźniej dostrzegł okno, przepuszczające szaro-niebieską ciemność zimową. Rozpoznał też miejsce komina: framugę bieloną, którą z ciemności izby wyłaniał blask nieuchwytny, szaro-czerwony, idący ze spopielałych w głębi komina węgli.



Dźwignął się zamaszysty chłop, odziany w wielkie futro.

Leżał na tapczanie, na zgrzebnem płótnie, czuł to ręką. Było mu niesłychanie wygodnie, choć bał się ruszyć, czując ból wszędzie w sobie, jak po zbiciu.

Na drugim tapczanie słyszał mocny i szybki oddech Bromirskiego. Wsłuchiwał się weń, i przypominał sobie, jak się tu dostali. Przyglądał się z podziwem kolejnym fazom ich losu, jak obrazom całkiem obcym.

Wtem uczuł nieznośne gryzienie, świerzbienie ciała. To go błyskawicznie docuciło: z przerażeniem pomyślał o gospodarzach, którym zaplugawi pościel. Właściwie miał pewność, że jest tu jakaś kobieta, dama czy panna, której się wstydził. Zaśmiał się głośno i szyderczo sam z siebie:

— A właśnie! Może jej się mam w wielkim mundurze prezentować!

Wściekała go ich krwawa nędza. Chciał się spieszyć, biedz, wrócić do armii, odszukać kompanię, połączyć się znów na mróz, głód i niespanie z temi kupami nędzarzy-żołnierzy, gdzie wiedział, że jest u siebie, ma miejsce własne.

Porwał się, i obróciwszy się na krzyżach, spuścił nogi na ziemię. Zabolały go, jak żywym ogniem przypalone, jak przekłute żelaznemi ostrzami. Syknął, wstał, i idąc niezgrabnie, jak małpa, zrobił kilka kroków aż do Bromirskiego. Namacawszy ramię, jął go szeptem budzić:

— Wstawaj, wstawaj, kolego! Musimy iść zaraz! Nie możemy zostawać w tyle!

Ale Bromirski spał. Ciało chodziło w rękach Ignacowych, głowa taczała się po pościeli, a oddech szedł i szedł, jednostajnym, nieprzytomnym rytmem.

— Co! — rzekł Ignacy nawpół głośno — czyż go zostawię?

Wybornie poczuł, że gra komedyę, i że ma dwie wole w sobie: Jedną, która chce iść precz, wracać do służby. Po jej stronie jest sumienie, rzetelność. Druga pod nią kopie: chce zostać, chce odpocząć. Ta sobie układa, jak tu będzie dobrze: dadzą jeść, dadzą bielizny, dadzą buty, dadzą się wymyć, wrócić do bycia człowiekiem, jak dawniej, sytym, wymytym, odzianym, spokojnym. Chciał tu przywrzeć, nabrać w siebie tego pożywienia, odpoczynku, dobra wszelkiego.

I znów zaczął budzić Bromirskiego gorliwie i uparcie.

Tymczasem drzwi otworzyły się nagle, tuż u głów drewnianego tapczana, gdzie leżał Bromirski. Otworzyły się na izbę i ukazały za sobą sień, skąd ciągnęło zimno, oświetloną jakimś ledwie tlejącym kagankiem.

Wszedł wysoki a przygarbiony człowiek, który nie widział w ciemności i wysuwając głowę, wypatrywał pilnie na dwie strony, ku tapczanom po kolei. Poszedł do okna ciężkimi, ale stłumionymi krokami i zasunął nagle z hałasem okiennice. Stało się czarno, jak w sadzy. Tylko światło kaganka wpadało z sieni niewyraźną smugą.

Chłop wyszedł do sieni, wrócił z kagankiem i przywarł drzwi za sobą. Teraz ujrzał, że jeden z przybyszów wstał. Chrząknął i zatrzymał się przy stole, na którym się wsparł obu rękami.

Ignacy zobaczył, że jest to człowiek niemłody, o głowie kudłatej i brodzie rosnącej krawędzią szczęk i na podgarlu, tak, że wraz z kudłami czupryny szaropłowej tworzyła dla twarzy tło i ramę. Twarz była długa, blada, podłużne bruzdy na policzkach, oczy pod nizkimi wałami brwi, wypatrujące i bystre. Kaganek palił się przed nim na stole i gdy nierówne światło wskakiwało mu na twarz, wówczas błyskały zęby i oczy zamyślone i świdrujące. Widać było, że jest niepewny, że ma się na baczności.

Ignacego to bawiło, czuł poczciwą niespodziankę, jakąby zrobił temu oto człowiekowi, gdyby dał mu poznać, z jakimi bezpiecznymi ludźmi ma do czynienia. Wtem spostrzegł swą nawpół nagość, swoje okropne nogi, krwawe plamy na bieliźnie, niegodnej tej nazwy i zmieszał się.

— Wy jaką drogą tu do nas dobrali się? — spytał chłop po pewnym czasie, ciągnąc z litewska.

— Musi to być szlachcic, — wnioskował Ignacy, któremu to pasowało do rekonstrukcyi jego przypuszczeń i majaczeń we śnie.

— Obdarli nas maroderzy, — odrzekł, — i szliśmy, ledwie żywi. Sam nie wiem, jakeśmy tu trafili. Nic się nas waćpan nie bój, porządni jesteśmy ludzie, choć tak wyglądamy.

— Wy z wojska?

— Tak.

Drzwi chrupnęły, jakby je kto ruszył. Ignacy ledwie stał na rozbolałych nogach, przysiadł na tapczanie obok Bromirskiego.

— Daruj waćpan, — rzekł, — ale stać mi trudno.

— Dak siadaj, — odrzekł Litwin, który spojrzał niespokojnie na drzwi. — A drugie tu za wami nie szły?

(Ciąg dalszy nastąpi).

W pięćdziesiątą rocznicę męczeńskiej śmierci.

O, Polsko moja! gdy już nieprzytomni
Będziemy — wspomnij Ty o nas, o wspomnij!
Wszak myśmy z Twego zrobili nazwiska
Pacierz, co płacze i piorun, co błyska...

I. Słowacki.

Rok ubiegły przypomniał nam przesmutną kartę naszej historyi, datę najboleśniejszą, tragiczny rok 1863 — rok klęski, bahaterskich wysiłków i ofiar, które poszły na marne... W roku tym uczciliśmy pamięć bohaterów, składając zbiorowy hołd żywym weteranom naszej ostatniej walki zbrojnej, a licznymi artykułami i broszurami czcząc tych, którzy na polu walki polegli lub zginęli w kazamatach katorgi. Uczciliśmy wielu, lecz jakże znaczna reszta pozostała, o których i współcześni nie wiedzieli, lub do nas już pamięć nie doszła. Rok jubileuszowy wydobył ich z niepamięci, by w obecnej epoce, tak odmiennej od lat naszych porywów, przypomnieć tych tytanów jeżeli nie czynu, to przeogromnej miłości Ojczyzny.

Śląsku, gdzie też i ukończył swe nauki i do kraju powrócił, aby już z niego nigdy nie wyjeżdżać. „Dobrze jest“ mawiał „poznać i widzieć obce kraje, ale w swoim tylko żyć należy. W swoim bowiem tylko może człowiek nabytą naukę najlepiej spożytkować“.

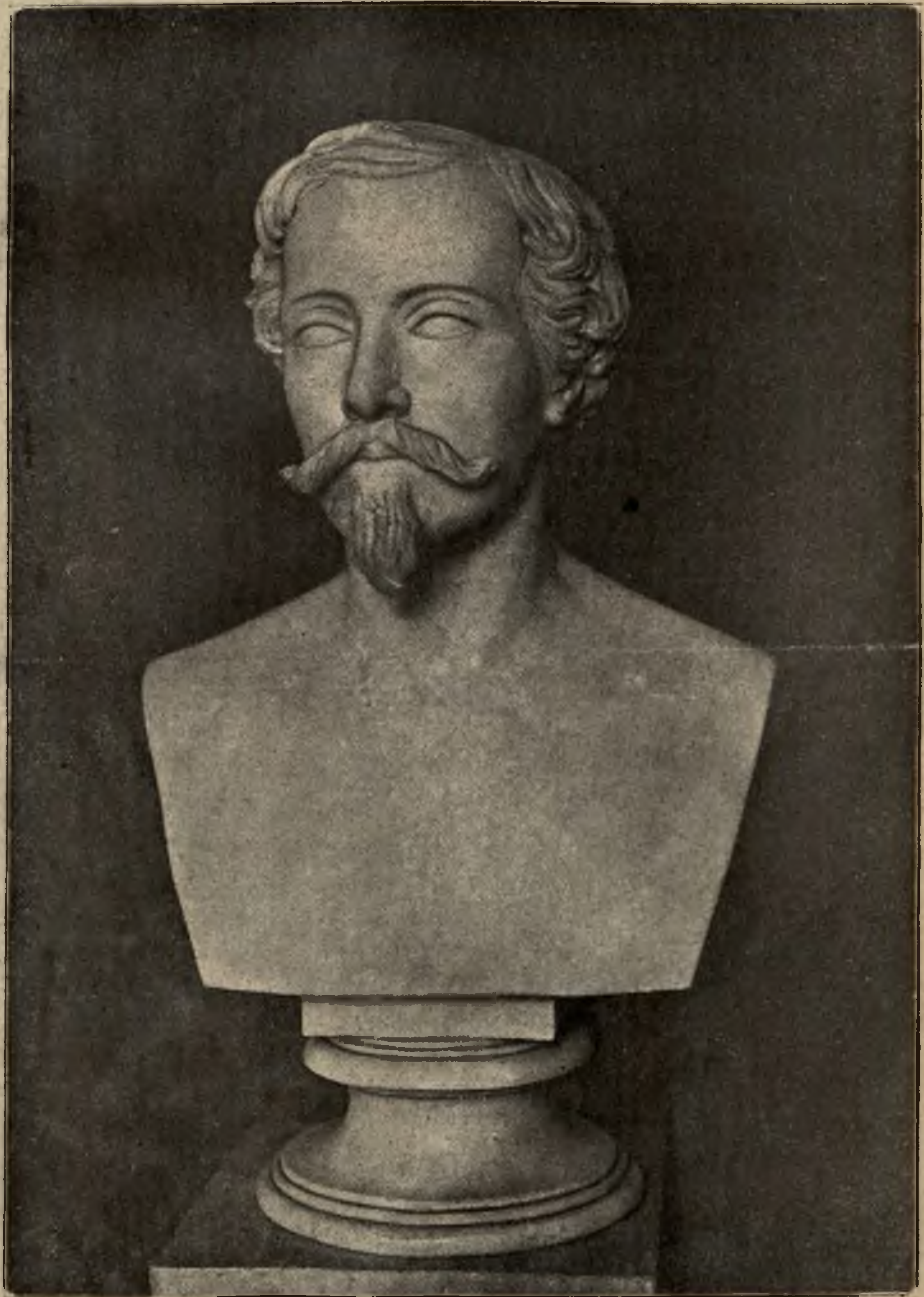
Wówczas Aleksander Rawicz oddał wieś Grochów i Czerwonkę, w ziemi Siedleckiej, pod zarząd synowi. Zaraz po objęciu majątku Władysław założył szkołę dla włościan, był jednym z najpierwszych na Podlasiu, którzy znieśli pańszczyznę i doprowadził gospodarkę rolną do kwitnącego stanu, tak, że stał się dla okolicy wzorem gospodarza.

Od dnia zawiązania Towarzystwa Rolniczego przez Andrzeja hrabiego Zamoyskiego, aż do zamknięcia Towarzystwa przez margrabiego Wielopolskiego, był jednym z najgorliwszych członków tej korporacyi, do której Komitetu należał.

Rawicz był jednym z organizatorów uroczystego pogrzebu pięciu ofiar z dnia 27 lutego 1861 roku, który się odbył dnia 2 marca. Bardzo czynnie też zajmował się manifestacyą patryotyczną po zniesie-

kładał wszelkich starań, ażeby zasady umiarkowanych zwycięstwo odniosły nad dążeniami rewolucyjnemi. Zanim atoli wybuchło powstanie, Rawicz niejednokrotną oddał usługę programowi umiarkowanego stronnictwa. Przeprowadził w obrębie swojej władzy dobrowolne opodatkowanie na cele narodowe, utrzymywał obywateli podlaskich w ściśnionych szeregach i pracował nad połączeniem organizacyi, białej i czerwonej, w jedno silne narodowe ciało. Zdawało się mu, że przez to złączenie zapobiedz będzie można wojnie, którą uważał w ówczesnych warunkach za nieszczęście. Ale stało się inaczej. Proskrypcya 15 stycznia 1863 r. w Warszawie pchnęła naród do zbrojnej walki. Chroniący się po lasach rekruci byli zawiązkiem sił zbrojnych narodu. Noc 22 na 23 stycznia była jednem z tych wielkich, historycznych, stanowiących o losach narodu wydarzeń. Małe garstki bohaterów uderzyły na rosyjskie załogi. Najsilniej wystąpiło Podlasie, do którego na naczelnika posłany był przybyły z emigracyi Walenty Lewandowski, osobiście dowodzący tej pamiętnej nocy napadem na Stok pod Siedlcami.





W pięćdziesiątą rocznicę męczeńskiej śmierci: Ś. p. Władysław Rawicz, stracony w Siedlcach 21 listopada 1863 roku.

Obraz L. Horowitza, (Ze zbiorów Józefa Rawicza). Rzeźba hr. Ireneusza Załuskiego.

Jednemu właśnie z bohaterów — Władysławowi Rawiczowi, który w dniu 21 listopada roku 1863 męczeńską śmierć na szubienicy poniósł, a którego Kraków uczcił uroczystem nabożeństwem w kościele Maryackim, poświęcamy wspomnienie, by nie zaginęła w nas pamięć Jego czynów i by zeszłoroczna rocznica świeciła nam jasnym przykładem.

Władysław Rawicz, syn Aleksandra i Maryi Rawiczów, urodził się w Warszawie dnia 2 września 1832 r. Pierwsze nauki pobierał w domu pod troskliwym dozorem światłego i wzniosłego ducha matki oraz księdza Benjamina Szymańskiego, kapucyna, późniejszego biskupa podlaskiego. Po ukończeniu gimnazyum wyjechał, jako praktykant, na wieś dla poznania ojczystej gleby i sposobów gospodarczych. Przebywszy rok na praktyce, udał się za granicę, do Akademii rolniczej w Hochenheimie pod Sztuttgartem dla poznania teoryi gospodarstwa, gdzie też i otrzymał dyplom dojrzałości. Ukończywszy Akademię w Hochenheimie, Władysław zwiedził Niemcy, Anglię i Francyę, dla zapoznania się z rolnictwem w tych krajach, poczem przebywał rok we wzorowo urządzonem gospodarstwie na

niu Towarzystwa Rolniczego i gdy przy śpiewie przez kilkadziesiąt tysięcy ludzi, „Jeszcze Polska nie zginęła“, na balkonie gmachu Towarzystwa Kredytowego ś. p. Marya Rawiczowa zawiesiła orła polskiego, był przy boku matki.

Gdy na gruzach Towarzystwa Rolniczego powstała nowa organizacya, którą, dla jej umiarkowania, przezwano „Białą“, Rawicz podwoił swe zabiegi i pracę, brał w niej czynny udział i wszystkimi wpływami i stosunkami starał się utwierdzić politykę „Białych“, aby rozszerzyć ją do całego kraju. Stronnictwo przeciwne, „Czerwone“, wychodząc z zasady, że rząd rosyjski nie zezwoli na pracę organiczną, odrazu postanowiło przystąpić z nim do ostatecznej rozprawy z orężem w ręku, którą „Biali“ uważali za przedwczesną i zgubną. Rozpoczęła się walka pomiędzy dwoma stronnictwami, walka zacięta, szło tu bowiem o opanowanie kierunku polityki narodowej.

Powołany ogólnem zaufaniem, pełnił na Podlasiu obowiązek wojewódzkiego naczelnika i urządził organizacyę białą w całem województwie. Zajmując tak ważne stanowisko w tajemnych usiłowaniach, do-

Wybuch powstania był dla ludzi obliczających chwilą pełną niepokoju i obaw. W liczbie zaniepokojonych był i Rawicz. Napisał on w tej epoce memoryał do kierowników powstania, przedstawiając niebezpieczeństwo zbrojnego ruchu, niepodobieństwo zwycięstwa, a pewność zguby. Wkońcu atoli oświadczył, że pomimo przeciwnej powstaniu opinii, którą jako obywatel kraju otwarcie powiedzieć był winien, posłusznym będzie, jak przystoi na prawego Polaka, Rządowi Narodowemu i gotów jest na jego rozkazy do wszelkich usług, jakie ten rząd dla dobra Ojczyzny nakaże mu pełnić.

Z początku wojny dostarczał Rawicz żywności dla obozów, wystąpił wtedy, jako jeden z czynniejszych obywateli. Pomimo, że w organizacyi białej zajmował wysokie stanowisko, przyjął skromny urząd referenta skarbowego w powiecie siedleckim. Pierwszą czynnością więc, jaką Rawicz spełniał w powstaniu, był pobór podatku narodowego. Lecz nie ograniczał się tylko na zbieraniu funduszów, pilnował przytem, aby grosz dobrze był użyty. To też wkrótce, w maju 1863 roku, Rząd Narodowy mianował Rawicza naczelnikiem powiatu.

Po objęciu tych obowiązków, Rawicz zebrał i uzbroił oddział konnych strzelców siedleckich, z których każdy uzbrojony był w strzelbę, rewolwer lub dwa pistolety i pałasz. Przeznaczeniem jego była służba w powiecie.

W czerwcu 1863 r. za położone dla powstania zasługi Rawicz otrzymał od Rządu Narodowego nominacyę na naczelnika cywilnego województwa podlaskiego. Udzielenie mu tej ważnej posady zrobiło najlepsze wrażenie. Szlachta i włościanie mieli taką do niego ufność, że niejednokrotnie oświadczali gotowość swą ujęcia szabli, jeżeli on stanie na ich czele. Gdy więc teraz zobaczyli go na urzędzie kierownika prowincyi, z ochotą spełniali to, co im nakazanem było. Rawicz zaś główną swą usilność zwrócił, jak należało, w kierunku przygotowań wojskowych. Zajął się energicznie dostarczeniem broni, której na Podlasiu, jako oddalonem od granic, było zawsze mniej, jak w innych województwach, i sztucerami przez siebie sprowadzonymi, uzbroił formujące się oddziały: Grzymały, Lutyńskiego, Lewenhardta i inne, nieustannie też pracował nad tem, aby nigdy nie brakło amunicyi. Wyrabiano ją w kilku punktach przez niego oznaczonych. Każdy naczelnik powiatowy musiał mieć ciągle na zawołanie gotowy znaczny zapas ładunków, dochodzący częstokroć do 20, 30, nawet 40 tysięcy. Zbieranie funduszów na broń było także ciągle przedmiotem jego gorliwości. Sam nie żałował grosza, a przez swoje osobiste stosunki potrafił więcej od innych zyskać pieniędzy. Straż narodowa wzorowo została przez niego urządzoną.

Nieszczęśliwy obrót powstania trapił go najmocniej, lecz nie odbierał energii. Po rozbiciu podlaskich oddziałów, Rawicz zaprojektował sformowanie wzorowego zastępu powstańców, do którego przyjmowano-by tylko takich, co złożyli przysięgę, że z pola bitwy nigdy uchodzić nie będą. Chciał on do szeregów tego oddziału zwabić wiejskich obywateli. Każdy z możniejszych, zapisując się na ochotnika, miał na koszta formacyi złożyć tysiąc rubli i przyprowadzić z sobą kilku towarzyszy. W pierwszym tygodniu zapisało się 30. Liczba ta okazywała, że nie brak było ludzi, którym pozycya materyalna nie przeszkadzała spojrzeć w oczy śmierci z bronią w ręku. Sformowanie jednak wzorowego oddziału spotkała niespodziewana zwłoka, z powodu zarzutów, uczynionych projektowi Rawicza przez demokratów. Przypisywali mu chętkę szlacheckiego wyróżnienia się i żądali, aby ochotnicy weszli do oddziałów już istniejących i w nich byli przykładem męstwa, energii i spełniania obowiązków.

Wykonanie projektu odroczono, a tymczasem nastał wrzesień, nieszczęśliwy miesiąc dla Rawicza. W tym to bowiem miesiącu Rosyanie ujęli go w Proszowie; wsi pod Siedlcami położonej i osadzili w więzieniu. Za kratami, przed śledczą komisyą, rozpoczął się dla Rawicza najboleśniejszy, ale i najszczytniejszy zawód męczennika. Młody, szczęśliwy, kochany, mógł życie ocalić płaszczeniem się, ale odrzucił haniebne środki ratunku i przeniósł śmierć chwalebną nad życie podłe. Gdy nagromadziły się przeciwko niemu dowody, przyznał Rawicz, że pracował dla kraju, powiedział, że był przeciwny powstaniu, a potem wziął w niem udział; uważał bowiem, że gdy krew się polała za Ojczyznę, to wszyscy,



W pięćdziesiątą rocznicę męczeńskiej śmierci: S. p. Władysław Rawicz z małżonką, Pauliną z Witwickich.
(Według współczesnej fotografii).

nawet ci, którzy byli przekonani o nieużyteczności ofiar, powinni byli wykonać swój obowiązek, którym była w tym razie służba dla powstania. Udział innych ludzi, jako człowiek prawdziwie uczciwy, taił, chciał on, aby wszyscy winy swoje na niego składali, a do wydania członków Rządu Narodowego groźbami, obietnicami, torturą krwawych plag i inną męczarnią skłonić się nie dał. Słysząc Rawicza, przemawiającego z całą godnością Polaka, mówili jego sędziowie, że gdyby nie był on nawet winien, musiałby być skazanym na śmierć, człowiek bowiem z tak wielką duszą i moralną siłą, rozumny, cnotliwy i tak gorąco ojczyznę kochający, zawsze jest niebezpieczny. Losem jego zajmował się cały kraj, pisały o nim obszernie dzienniki polskie, we Lwowie, Krakowie i Poznaniu wychodzące i prawie cała prasa europejska.

Rodzina Rawicza najboleśniej dotkniętą została niebezpieczeństwem, w jakiem się znajdował.

Żona *) jego czuwała w Siedlcach we łzach i utrapieniu. Ojciec zapłacić musiał 400.000 złotych kontrybucyi. Starszy syn, Józef (umarł w 1901 r.), wysłany został na Syberyę, szwagier, St. Wołowski, siedział w kazamatach, a żona jego, Marya (obecnie wdowa po Michale Trębickim), jedyna Rawicza siostra, broniła męża. Matka za granicą czyniła wszelkie starania o zachowanie syna przy życiu. Kilka dworów panujących wskutek tych starań wstawiało się za nim u cesarza Aleksandra. Z hr. Jezierskich księżna Golicyn i córka jej, Julia, również hr. Orłow-Denisow i księżna Michałowa Radziwiłłowa nic nie zaniedbały, aby prośby nieszczęśliwej matki były wysłuchane. Skutek uwieńczył tak gorliwe starania i cesarz Aleksander przysłał akt ułaskawiający do namiestnika Berga. Lecz ten, pomimo rozkazu cesarza, pomimo, że w liście do Berga pisanym wstawiała się za nim królowa wirtembergska, siostra cesarza, wysłał tajemnie telegraficzną depeszę, aby wykonanie wyroku przyspieszono. Dopiero po dopełnionej egzekucyi przez jenerała Maniukina, posłał do Siedlec akt cesarskiej łaski, który nadszedł naturalnie zapóźno. Władysław Rawicz stracony został w Siedlcach 21 listopada 1863 roku.

Zawiadomiony o czekającej go śmierci na dwie godziny zaledwie przed egzekucyą, Rawicz wyspowiadał się i przyjął Najświętszy Sakrament, napisał testament, w którym żegna rodziców, żonę, syna, brata, siostrę i szwagra, robi zapis ze swego majątku żonie, która mu urodziła syna, gdy już był w więzieniu i podaje szczegółowo najmniejsze nawet sumki, należące się od niego i jemu od innych. W rozporządzeniach swoich nie zapomniał nawet o posługaczach więziennych.

Orszak, który go prowadził na szubienicę z bębnem na czele, ponuro wyglądał. Rawicz, wycieńczony i do niepoznania mękami przeniesionemi zmieniony na twarzy, pięknym był przecież, idąc na śmierć z pogodnem czołem, strojnie, jak na największą uroczystość przybrany. Chód nawet, powiada naoczny świadek, zachował poważny i pewny, głowę miał dumnie wzniesioną, sam więc tylko jęk i płacz otaczających zdradzał, że na śmierć idzie. W ostatniej jeszcze chwili dowiódł, jakie wspaniałe uczucia przemieszkiwały w jego sercu. Przechodząc około domu, w którym, jak się domyślał, mieszkała jego żona, tak nizko zwiesił głowę, że twarzy jego widać nie było. Gdy zaś towarzyszący mu kapłan zapytał: „Co ci to mój synu? czy słabniesz?“ „Bynajmniej — odparł szlachetny męczennik — lękam się tylko, żeby mnie żona nie zobaczyła i nie poznała“.

Stanąwszy przed szubienicą ani na chwilę nie stracił odwagi i wyrzekł donośnym głosem: „Powiedzcie moim rodzicom, iż umieram szczęśliwy i spokojny, bo za najświętszą sprawę i nikogo nie zdradziwszy. Proszę, aby syn mój, w tychże, co ja wzrósł zasadach. Żegnam Was, a Bogu oddaję!“.



W pięćdziesiątą rocznicę męczeńskiej śmierci: Władysław Rawicz (akwarela Juliusza Kossaka z 1861 r.).
(Ze zbiorów Józefa Rawicza).



W pięćdziesiątą rocznicę męczeńskiej śmierci: Nagrobek ś. p. Władysława Rawicza w kościele O. O. Kapucynów w Krakowie

*) Rawicz 4 października 1862 r. poślubił Paulinę Witwicką, córkę b. oficera wojsk polskich Witwickiego, brata Stefana, słynnego polskiego pisarza i patryoty, zmarłego na emigracyi w Rzymie. Ślub odbył się w Warszawie, w kościele Karmelitów na Lesznie. Zmarła w Paryżu w styczniu 1913 r.

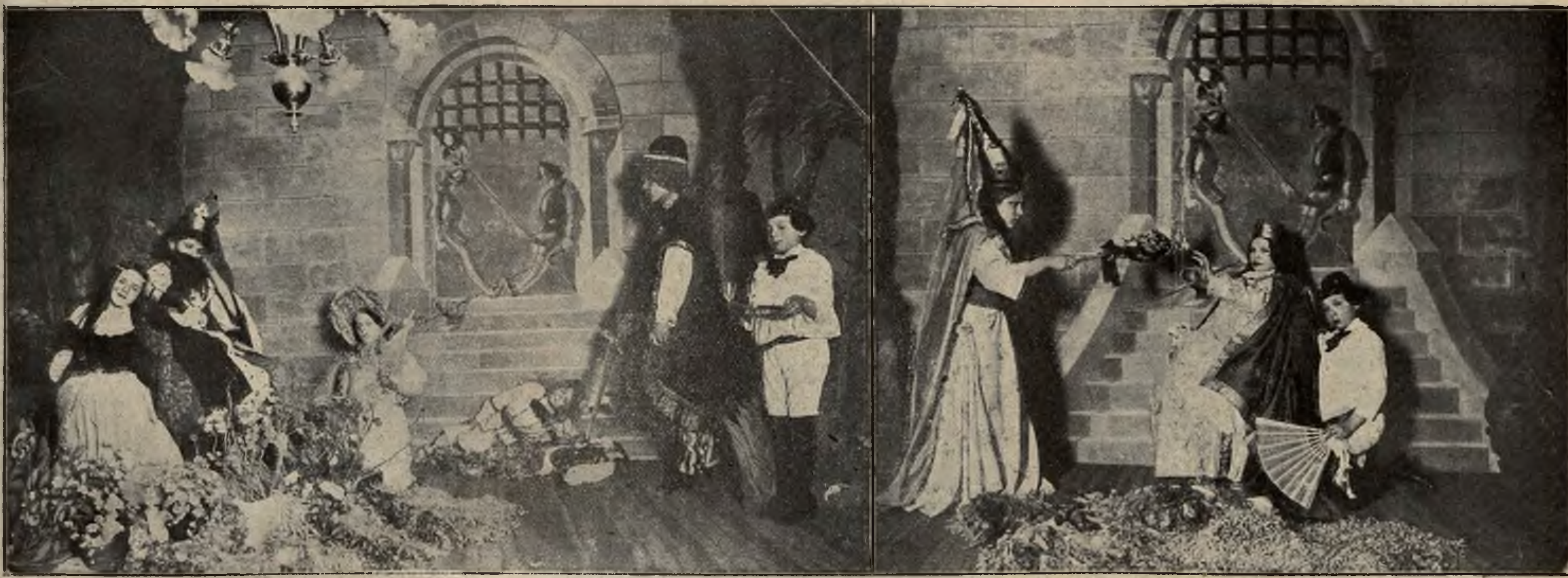
Zapusty u głuchoniemych.

Zabawa wychowanków zakładu głuchoniemych we Lwowie w zapusty ma już swoją ustaloną tradycyę. Program jej, obejmujący mimiczne przedstawienie, żywe obrazy i produkcye taneczne elewów, odzianych w krakowskie stroje ludowe, co raz to żywsze obudza zainteresowanie. W roku obecnym przez dwa dni t. j. w zapustną niedzielę i w poniedziałek publiczność zapełniła salę po brzegi, a wielu odchodziło od kasy z powodu braku biletów. Na całość interesującego przedstawienia złożyły się żywe obrazy, z których pierwszy „Losowanie“ według Grottgera był przepiękny, a w następnych przedstawiono śliczną bajkę p. t. „Polna różyczka“. Układem obrazów zajmowała się jak zawsze nauczycielka zakładu p. Wilkonowa, a dekoracye były dziełem uczniów głuchoniemych.

Po obrazach nastąpiły produkcye taneczne dziatwy pod kierunkiem nauczyciela p. Niedźwiedzkiego przy dźwiękach muzyki, której głuchoniemi nie słyszą. To też wydaje się to nieprawdopodobnem, by te biedne dzieci mogły się weselić, a jednak rozjaśnione ich twarzyczki świadczyły, że ta upośledzona dziatwa zapomina o świecie i całem sercem niewinnem oddaje się zabawie.

Trzeciego dnia t. j. we wtorek zapustny zabawiali się dorośli głuchoniemi, zorganizowani w stowarzyszeniu „Nadzieja“.

Dochód z zabawy przeznaczony był na zasilenie bursy dla głuchoniemych, w której już 23 dzieci i terminatorów znalazło pomieszczenie.



Zapusty u głuchoniemych: Mimiczne przedstawienie „Polnej różyczki“ przez wychowanków zakładu głuchoniemych we Lwowie.
(Fot. Kościesza-Jaworski, Lwów).

Zamach na biskupstwo w Debreczynie.

Teror pod wszelką postacią był od wieków praktykowany w polityce, imała się go opozycya, używały nierzadko rządy i mniejszości, bywał jednak zwykle jako *ultima ratio* stosowany, po wyczerpaniu wszelkich sposobów i środków, zmierzających do załatwienia kompromisowego. Czasy ostatnie przedstawiają nam inne metody ścierania się prądów politycznych, teroryzm stosują wielcy i mali, z konieczności i bez potrzeby, a często chwyta się go garstka, usiłując narzucić swój pogląd społeczeństwu. Z tej dziedziny faktów zdarzył się wypadek zbrodniczego zamachu na biskupstwo grecko-kat. w Debreczynie na Węgrzech. Biskupstwo to utworzono dopiero przed rokiem z warunkiem, iż językiem liturgicznym nabożeństw będzie węgierski; działalność jego jednak od samego początku spotkała się z wyraźną niechęcią pewnych kół, a biskup Stefan Miklossy narażony był na różne szykany, a nawet kilka razy na napaści. Zamach, dokonany w tych dniach wśród dość tajemniczych okoliczności, jest jednak koroną tego wszystkiego, na co mogli się zdobyć malkontenci.



Zapusty u głuchoniemych: „Śledź popielcowy“ w lwowskiem stowarzyszeniu głuchoniemych „Nadzieja“.

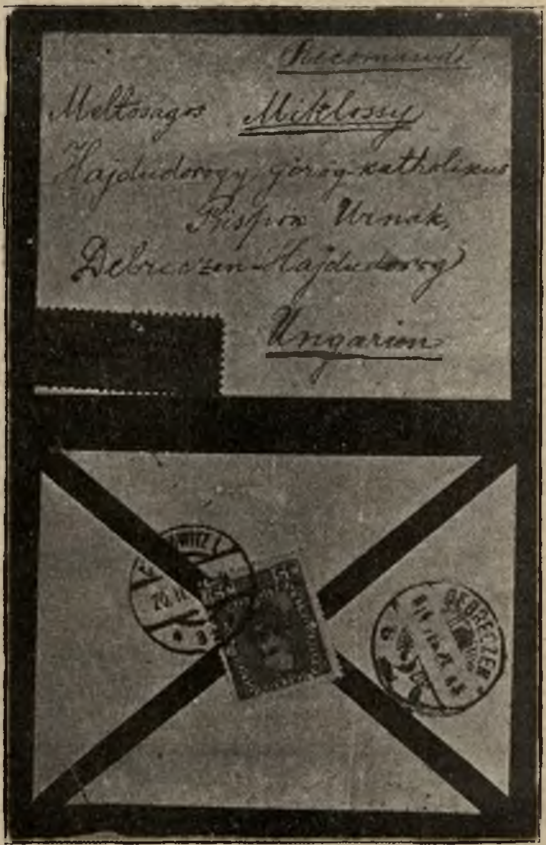


Zamach na biskupstwo w Debreczynie: Jedna z ofiar wybuchu, generalny wikary dr. Michał Jackowicz.

Zamachu dokonano przy pomocy maszyny piekielnej, przysłanej przesyłką pospieszną z Czerniowiec. Przy otwieraniu przesyłki nastąpiła eksplozya, która zniszczyła cały dom biskupstwa oraz zabiła trzy osoby, raniąc nadto kilkanaście. Biskup Miklossy ocalał tylko cudem, dzięki temu, że nie znajdował się podówczas w swej kancelaryi. Do przesyłki załączony był list, podpisany przez jakąś Annę Kovacs, co okazało się tylko mistyfikacyą sprawców. Od wybuchu zginęli na miejscu: wikaryusz generalny Michał Jackowicz, adwokat dr. Csatth i sekretarz Jan Slepkowski, który poszarpany został na kawałki. Ofiarom popękały żyły na całem ciele wskutek silnego ciśnienia powietrza. Adwokat dr. Csatth, zastępca prawny biskupstwa, zmarł wskutek wewnętrznego krwotoku, żył jednak najdłużej z ofiar i skonał po przewiezieniu go do szpitala.

Tragedya młodego uczonego.

Pisma monachijskie przyniosły nam tragiczną wiadomość o zamachu samobójczym, jakiego tam dokonał młody uczony polski dr. Alfred Burzyński, bawiący tam w przejeździe do Egiptu. Dr. Burzyński należał do popularnych i ogólnie lubianych postaci Lwowa, a jako wybitny okulista cieszył się ogromnem wzięciem. Zmarły wydał szereg prac naukowych, które rozpoczął już jako uczeń prof. Kadyi'ego, a następnie asystent prof. dra Macheka. Tragiczny zgon młodego uczonego okrył żałobą wszystkich, którzy go znali i dla wybitnych zalet cenili.



Zamach na biskupstwo w Debreczynie: Mistyfikacyjny list, zapowiadający przesyłkę dla biskupa.



Tragedya młodego uczonego: S p. dr. Alfred Burzyński.





Zamach na biskupstwo w Debreczynie:

Zrujnowana siedziba biskupa Stefana Miklossy. Kancelarya po wybuchu maszyny piekielnej.

PIOTR SALES

TAJEMNICA FAKIRA

Druga część „Lekarza Cudotwórcy"

Tłumaczyła MARYA SEGENY.

14

— Ale ich ładnie wyprowadziłem w pole! Ani śladu tego zatabaczonego, starego rybaka! A ty mój mały, naprawdę nie dostrzegłeś nic podejrzanego?

— Droga jest zupełnie wolna! Jedziemy?

— Jeszcze nie. Przybyliśmy tutaj dopiero przed pół godziną; to za mało, żeby wytłumaczyć namiętność moją do pejzażu.

Przed pół godziny jeszcze Jan le Kerlack gorliwie się oddawał swojemu zajęciu i ciągle wzywał Lusię do oglądania jego arcydzieła. Skończyło się na tem, że Lusia musiała poprawić jego obraz, na wszelki wypadek, gdyby ktoś niepowołany nadszedł i obejrzeć chciał pracę malarza Morela. Bez tej pomocy, niewiadomo do czego by był podobny pejzaż Jana le Kerlacka. Obraz teraz wyglądał wcale dobrze i gdyby jaki agent policyjny ukryty w krzakach, śledził rodzinę Morel — mógłby tylko zdać w raporcie, że widział malarza pracującego przy współudziale córki swojej, nad brzegami Sekwany, panią Morel zajętą szydełkową robotą, a Fernandę zatopioną w czytaniu książki. Obecność młodego Gewolskiego, była całkiem naturalna, skoro uchodził za narzeczonego młodszej córki malarza.

— Zdaje mi się, panie Morel, że się już ściemniać zaczyna — zauważył po chwili milczenia Stanisław.

— To prawda — odpowiedział pan Morel, dokończając fajkę. — Nie mogę już nawet odnaleźć stosownego koloru nieba. Masz zupełną słuszność, mój przyjacielu, porobiłbym dziwolągi, gdybym dalej pracował.

— A więc, może pan pozwoli, że odprowadzę państwa do Sannois.

— Automobilem? — zapytała Fernanda.

— Tak, automobilem. Możemy nałożyć drogi, bo wieczór ładny, a przez las Montmorency, gdzie o tej porze nikogo nie spotkamy, będę mógł puścić swobodnie maszynę.

— Ja zawsze drżę, kiedy pan jeździ tym automobilem — zauważyła pani Morel.

— Ej! bo ty to się i muchy obawiasz! — zawołał donośnie podrażniony pan Morel.

W parę minut później automobil unosił całą rodzinę w stronę lasu Montmorency i znikł wkrótce pomiędzy drzewami. Noc zapadała już, gdy maszyna dojeżdżała do Epinay i zatrzymała się przed bramą jakiegoś parku. Musiano już tu oczekiwać na przybyłych, bo prawie natychmiast brama cicho się rozwarła, automobil wjechał w obszerną aleję, skąd go z drogi ujrzeć nie było można. Stanisław pomógł paniom wysiąść, podczas gdy Jan le Kerlack oddalił się, aby zbadać okolicę.

Gdy powrócił i wszedł do zabudowania, znajdującego się w północnej części parku, zastał dyrektora zakładu, zdającego rodzinie relacye o stanie zdrowia nowego pacyenta. Był spokojny i łagodny, a troskliwe zaopiekowanie się nim doktorów, przyniosło już wielki postęp w kierunku zupełnego uzdrowienia.

— Nie miał ani jednego napadu szału — mówił radośnie dyrektor — od dwóch tygodni blizko. A przyznam państwu, że te ataki, po których następował zupełny zanik sił i władz umysłowych, z początku niepokoiły mnie bardzo. Widocznie zastosowywano mojemu choremu poprzednio złą kuracyę. Codziennie jednak rano dla ostrożności leczę go łagodnym tuszem i staram się wmówić w niego, że jest zupełnie zdrowym.

— A więc będziemy go mogli wkrótce zabrać do domu — zawołała uszczęśliwiona pani Morel.

— Zdaje mi się, że będzie musiał pozostać tu jeszcze jakiś czas. Uważać będę wyzdrowienie za pewne i stałe wtedy dopiero, kiedy zniknie w nim ta mania utrzymywania, że jest kilkoma osobami naraz. Bo dotąd wierzy, że jest rzeczywiście w moim zakładzie otoczony najtroskliwszą opieką, a wmawia w nas wszystkich, że sobowtór jego więziony jest i dręczony w innym zakładzie. Sądzę jednak — dodał dyrektor, zwracając się do Jana le Kerlacka — że jest w stanie bezpiecznie znieść wstrząśnienie, którego dozna, ujrzawszy rodzinę, a kto wie, może to będzie dla niego decydująca chwila. Wszystko jest przygotowane w pawilonie, tak, jak pan sobie życzył.

Po chwili rodzina Morel znajdowała się w małym domku, otoczonym staremi drzewami, przypominającym bardzo domek w Sannois.

Pani Morel i jej córki, pomimo uspakajających zeznań dyrektora, wzruszone były i niespokojne.

— Zobaczycie, że się pogniewam na was — burczał Jan le Kerlack. — Należy nam wszystkim zachować zimną krew! Później, w domu, możecie sobie pozwolić na żale, ale nie tu, w takiej chwili!

Lecz jakże nieszczęśliwe kobiety mogły zapanować nad wzruszeniem, kiedy wszystko w tym domu przypominało im tak żywo otoczenie, w którem tyle lat szczęśliwie przeżyły aż do dnia strasznej katastrofy! Nawet ten fatalny wodotrysk i basen kamienny wznosił się na gazonie przeddomem, urządzony na żądanie Jana le Kerlacka. We wnętrzu domu, była jadalnia, tak, jak w Sannois; w jednym rogu stało pianino otwarte, a w drugim okrągły stół i głęboki fotel, w którym zwykle siedział pan Morel, paląc fajkę po obiedzie.

— Jest pan pewnym, że nie był tu jeszcze, i nic nie widział? — zapytał Jan le Kerlack dyrektora.

— Ten pawilon jest zazwyczaj niezamieszkały; odłączyłem go od parku baryerą i starałem się usilnie w ostatnich dniach, aby pan Morel nie podchodził w tę stronę. A więc teraz go przyprowadzę?

— Jeszcze chwilkę, kochany dyrektorze; chcę, żebyśmy wszyscy odzyskali przedtem trochę równowagi i zimnej krwi.

Dyrektor oddalił się, a Jan le Kerlack, uściskawszy serdecznie bratową i siostrzenicę, błagał raz jeszcze o zachowanie spokoju. Stanisław zaś, blady, lecz pewny siebie, szepnął coś cicho do ucha Lusi. Gdy w jakiś czas później na ścieżce prowadzącej do pawilonu rozległy się kroki dyrektora, wszystko pozornie w tej zacisznej jadalni przypominało dawne, miłe wieczory spędzone w Sannois.

Pan Morel wszedł do ogrodu swobodnym, zwykłym krokiem, jakgdyby wracał z przechadzki po mieście. O kilka metrów od wodotrysku zatrzymał się.

Z okna pokoju widziano, jak przecierał ręką oczy i odrzucał z czoła kapelusz filcowy o szerokich brzegach. Równocześnie podszedł do niego dyrektor mówiąc:

— Znajdę tu pana za chwilę... teraz proszę pozostać z rodziną.

Dreszcz przebiegł pana Morel... uczynił ruch, jakgdyby uciekać chciał za dyrektorem, lecz tenże odezwał się serdecznie, lecz stanowczo:

— No, dalej! idź-że pan! Czekają na pana!

Ociągając się trochę, pan Morel wszedł do pawilonu. Żona i córki chciały się rzucić na jego spotkanie, lecz Jan le Kerlack powstrzymał je energicznie:

— Niech nikt nie zapomina o swojej roli! tak jak to ułożyłem!

Poczem cofnął się szybko do przyległego pokoju. Wtedy odezwała się głośno Lusia:

— Zdaje mi się, że ojciec już wraca.

I uchyliła lekko drzwi do przedpokoju: pan Morel, który już się tam znajdował, zamknął starannie drzwi, prowadzące na ganek i zobaczył Lusię, podchodzącą swobodnie do niego, z robótką w ręce, podczas kiedy pani Morel podnosiła głowę z nad książek rachunkowych, zajmujących ją dotąd i uśmiechała się serdecznie do męża; Fernanda zaś, porzuciwszy także czytaną książkę, szła powoli na powitanie ojca. Stanisław, uderzywszy jeszcze kilka akordów, zamknął pianino i zbliżył się do pana Morela, podając mu rękę.

Pan Morel już chciał się pochylić i jak zwykle pocałować Lusię w czoło, gdy nagle odsunął ją od siebie, odtrącając także rękę Fernandy i Stanisława. Chwilę rozglądał się po pokoju i szepnął:

— Ależ to Sannois!... To nasz pokój jadalny!

— Jeszcze nie całkiem — odrzekła pani Morel powstając. — Ale wkrótce powrócisz już do nas, do Sannois! Ale skoro zechciałeś się oddalić od nas na czas jakiś, przenieśliśmy tu ulubione twoje rzeczy!

— Ja chcę natychmiast powrócić do Sannois! — zawołał gwałtownie pan Morel.

Wszyscy zadrżeli; czyżby ta scena, którą wykonali w gorącej nadziei, że stanie się zbawiennem wstrząśnieniem dla osłabionego umysłu chorego, wywołać miała ostateczny i niewyleczalny już atak szału?

Pan Morel nieprzytomnem spojrzeniem spoglądał po obecnych, wołając dalej gniewnie:

— Kiedyż więc będę mógł powrócić do Sannois, skoro nie ukończyłem jeszcze kaplicy Sykstyńskiej, a potem przecież oczekują mnie w Indyach, gdzie zarobić mogę miliony! Będziesz mieć milion, dwa, trzy miliony posagu, moja Lusiu. Stworzyłem dziś dzieło, z tej miniatury, którą przyniosłaś mi od księcia. O! patrz!

Wyciągnął z pod ubrania pudełko, w którem znajdował się niewielki szkic na drzewie, jeden z tych, które Lusia odnosiła po odnowieniu księżniczce Kicie.

Widok tych malowideł działał uspakajająco na chorego.

— Czy zrobiłaś te zdjęcia fotograficzne w muzeum Guimet, Lusiu!

— Oto są, ojcze! — odpowiedziała donośnym głosem młoda dziewczyna.

Wtedy pan Morel usiadł swobodnie w fotelu swoim przy stole, kazał Lusi przybliżyć lampę i wpatrzył się ciekawie w porobione odbicia.

— Możesz, mój kochany Stanisławie, powiedzieć ojcu, że moja córka będzie miała sto milionów posagu — rzekł patrząc dumnie na młodego człowieka.

— A ty — zwrócił się do żony — już nie będziesz psuła oczów, naprawiając naszą bieliznę i robiąc niedorzeczne rachunki z kucharką o brakujące parę centimów.

Na widok fajki, przygotowanej przez Fernandę, twarz pana Morela rozjaśniła się.

— Więc spędzam dziś wieczór w Sannois? — zaśmiał się. — Bardzo jestem z tego uszczęśliwiony!

Nałożył fajkę i zapalił.

— Stanisławie — rzekł po chwili — zagraj no walca z „Wesołej wdówki". Wszędzie się ją słyszy, to prawda, ale zawsze go lubię!

Stanisław usiadł przy pianinie i wypełnił żądanie starego przyjaciela, choć łzy napływały mu do oczów. Czy mógł teraz mieć nadzieję w zupełne wyzdrowienie pana Morela? a przecież wielka nadzieja wstąpiła do jego duszy, gdy zobaczył, jak starannie i artystycznie malarz odnowił miniatury księżniczki Kity!

Stanisław grał jeszcze, gdy pan Morel zawołał rozdrażniony:

— Co za nieszczęście, że słyszeć mogę tylko przez połowę i że ty, Stanisławie, nie możesz pójść zagrać tego walca tam, gdzie mieszkam ze swoim sobowtórem. Ciekaw jestem; co też on robi w tej chwili? Czy widzi nas? Czy słyszy? Jak on musi być nieszczęśliwy!

Nagle pan Morel zerwał się z fotelu i wzniósł groźnie obydwie ręce, jak gdyby broniąc się przed napaścią:

— Strasznie się źle z nim obchodzą — krzyczał wściekle. — Mówią, że jest szkodliwy! No, powiedzcie, czy ja mogę być szkodliwym? Czy byłem kiedy niedobrym dla was? A przecież nakładano na niego kaftan bezpieczeństwa! Męczono pod okropnymi tuszami!

— Ależ, mój drogi — usiłowała tłumaczyć pani Morel, której wzruszenie już siły odbierało — jesteś z nami, cały z nami! Sobowtóra twojego zabraliśmy ze sobą.

Przybliżyła się do niego i łkając cicho, pieszczotliwie przesuwała ręką po jego rozpalonem czole.

— Jesteś przecież z nami!... Chciałeś na jakiś czas wydalić się z domu... pamiętasz? Zdarzało ci się to niekiedy już dawniej! Chciałeś zapewne zobaczyć dawnych kolegów, pomówić z nimi o sztuce — i zachorowałeś w drodze!

— Ah! tak... tak... zachorowałem w drodze!... Co to mi było? Moja biedna głowa!... tak, to prawda!... Ale to już przeszło, prawda?

— Tak, przeszło, bo jesteś już między nami, i już zacząłeś nawet pracować, jak dawniej! Kiedy się poczujesz całkiem już silnym... powrócisz do nas, do Sannois, tyle zamówień na twój powrót oczekuje! Może nie zyskasz przy nich milionów, ale...

Morel przerwał żonie niecierpliwie:

— Ty sobie nie możesz wyobrazić, jak wielkim może być majątek takiego księcia!

Dłuższą chwilę rozmawiał Morel z rodziną przytomnie i rozsądnie, lecz znowu niepokoił ich nagłymi przeskokami i brakiem logiczności w słowach.

— Jakże ja będę mógł pogodzić to wszystko razem? Indye i papież? Papież gotów pogonić za mną! I uwkrycić! Żebyś ty go widziała drapiącego się po rusztowaniach kaplicy Sykstyńskiej!... Czy wy sobie wyobrażacie, że można stworzyć arcydzieła w piętnastu dniach. Co to? słyszycie? Czy to po mnie ktoś idzie?

Rozległo się pukanie do drzwi pawilonu i zaraz we drzwiach pokoju stanął służący z papierem w ręku.

— Telegram do pana Morel!

Lusia podeszła i odebrała papier.

— Telegram! dla mnie? — szepnął zdziwiony malarz.

Było to dla niego wrażenie niezwykłe i nowe.

Początkowo ogarnęło nim uczucie lęku i niepokoju, lecz wkrótce uśmiechnął się.

— Telegram! dla mnie!

Pani Morel zadrżała, gdy mąż jej rozwinął papier i czytał. Może wrażenie będzie za silne na jego osłabiony umysł i do reszty zamąci iskry samowiedzy i przytomności?!

— Mój Boże! — szepnął chory, opadając bezsilnie na fotel. — Mój brat! mój biedny Piotr! Piotr powrócił do Francyi!... będzie tu za chwilę... To był fałsz, to wszystko wiecie. On to mówi, o tu...

Drżącą ręką wskazywał depeszę.

— Zdołał wykazać swoją niewinność... to tamten, ten Gerfant, ten łajdak, rozmyślnie go oskarżył. Piotr się tłumaczy... A jego skazali, uwięzili, bez dowodów pewnych!... I teraz wraca biedak do nas! wraca jako uczciwy człowiek, bo sąd uznał jego niewinność. Mój biedny, mały Piotr.

Morel roześmiał się nagle.

— Nazywam go małym Piotrem! bo urodził się po mnie, był młodszy o całe dwadzieścia minut!... Ale teraz musi być całkiem do mnie podobny!...

Przechadzając się gorączkowo po pokoju, Morel mówił dalej niespokojny i wzruszony:

— Powinien już tu być!... Donosi w telegramie, że przybywa zaraz!... Dlaczego go niema jeszcze?

Skoczył do drzwi, otworzył je gwałtownie i nagle bezsilny i blady musiał oprzeć się o framugę.

W drzwiach stał Jan le Kerlack i drżące ramiona wyciągał do brata!

Pan Morel cofnął się szepnął niedowierzająco:

— Czy to ty Piotrze? czy mój sobowtór?

Przecież to był ten, który uwolnił go z domu, gdzie pastwiono się nad nim i który przybrał jego postać, bo był i nim także!

Jan le Kerlack szybko opanował wzruszenie. Porwał brata w ramiona i serdecznie przycisnął do piersi.

— Nareszcie! nareszcie jesteśmy znowu razem! — zawołał. — Marzenie ostatnich lat spełniło się!...

Wzrokiem hypnotyzował Morela i zmusił do spojrzenia sobie w oczy. Ten wahał się jeszcze, opierał, wkońcu wybuchnął płaczem szepcząc:

— Gdzie ja jestem? Gdzie byłem?

— Pomiędzy nami wszystkimi, mój biedny bracie!

— Ale...

Spojrzał ze zdumieniem na żonę, dzieci i Stanisława, poczem raz jeszcze powiódł okiem po pokoju i sprzętach mu znajomych.

— Sannois! tak, to prawda!... Jestem w Sannois, pomiędzy wami!... Lecz ja przedtem byłem? Gdzie mnie uprowadzono?... A ty? — zawołał chwytając brata za rękę. — Skończone już? na zawsze skończone? Obmyłeś się dostatecznie z tego okropnego podejrzenia? Bo choć byłeś dawniej trochę lekkomyślnym, ale zawsze byłeś dzielnym chłopcem! Teraz mogą cię wszyscy w tym domu kochać i szanować! Słyszysz, żono! A wy, moje małe, musicie mu teraz wynagrodzić lata opuszczenia i wstydu! Widzisz, Piotrze, jakie mam ładne córki! To jest Lusia jest ładna, a Fernanda piękna! Uściskajcie, moje dzieci, wuja!

Fernanda i Lusia ze łzami w oczach rzuciły się w ramiona uśmiechniętego Jana le Kerlacka, a pan Morel, prowadząc za rękę Stanisława mówił dalej:

— Pamiętasz, zdarzało mi się niekiedy wspominać przed tobą brata mojego... a że nie mówiłem wszystkiego, to tylko dla tej przyczyny, że to było dla mnie zanadto przykre! Patrz, Piotrze, ten ładny chłopiec jest narzeczonym mojej małej Lusi. Trochę się to niepodoba ojcu, sławnemu doktorowi Gewolskiemu, bo jesteśmy wobec niego biedni, mali ludzie. A właściwie byliśmy — dodał z dumą. — Teraz zarabiam tyle, co najwięksi malarze świata! Restauruję galerye wielkich panów i książąt!...

Przykry dreszcz wstrząsnął wszystkimi! Po chwili kompletnej jasności umysłu, nadchodziło znowu gorączkowe majaczenie!

Jednakże Morel był całkiem spokojny, gdy rzekł do Stanisława:

— Niech pan to powie swojemu ojcu! Przekona się może, że niema do czynienia z ludźmi wyrachowanymi. Rozmów się, moje dziecko, z nim tej nocy jeszcze, bo moja żona pozwoli powrócić do Sannois tylko oficyalnemu narzeczonemu Lusi. Zresztą dałeś mi już swoje słowo, że nie odwiedzisz nas, aż to wyjaśnienie nastąpi... A ja teraz wracam do domu, gdzie żona oczekuje mnie z niecierpliwością!

Postąpił parę kroków i cofnął się, patrząc przed siebie błędnym wzrokiem.

— Kto poruszył mój wodotrysk?!... Sprawdziłem przecież dziś jego bieg! Kto go zatrzymał? Kto?

Chciał biedz naprzód, lecz jeszcze raz rzucił się w tył, wołając przerażonym głosem:

— Czego wy chcecie odemnie! Puśćcie mnie! puśćcie mnie! słyszycie! nędznicy!

Wkońcu opadł na krzesło, gdzie pozostał długą chwilę bez ruchu, blady, jakby skamieniały.

Pani Morel i córki chciały go otoczyć, lecz Jan le Kerlack usunął je niecierpliwie: chciał, aby cała ta scena dokładnie ujawniła się w pamięci brata!



— To za mało, żeby wytłumaczyć namiętność moją do pejzażu.

To już nie był szał, to było jasne wspomnienie przeżytego dramatu!

— Głowa! moja głowa! — szepnął kilkakrotnie Morel. Poczem spojrzał wokoło dosyć przytomnie i jakgdyby odgadł w obecnych pragnienie dowiedzenia się jeszcze czegoś więcej, rzekł zgnębiony:

— Więcej już nic nie wiem... nie wiem nic... Co to było wszystko? Co się ze mną stało od czasu, w którym was nie widziałem? Dziwne rzeczy dzieją się ze mną? Gdzie ja byłem? bez was? Tu nie jest Sannois! Nie byłem z wami dziś rano, tylko z tym zacnym doktorem, który się mną tak opiekuje, a tamten dręczył mnie tylko! Doktorze!... oh! doktorze!

Proszącym ruchem Morel wyciągnął ręce do dyrektora zakładu, który w bocznym korytarzu był obecnym całemu zajściu i teraz znalazł stosowną chwilę do ukazania się...

Podszedł do pacyenta i kładąc przyjaźnie rękę na jego ramieniu, oznajmił stanowczo, że na dzisiaj dosyć już tej pełnej wzruszeń rozmowy.

Pan Morel i Jan le Kerlack niespokojnem spojrzeniem zapytywali o rezultat spostrzeżeń; doktor uśmiechnął się do nich uspakajająco. Był widocznie zadowolony z pacyenta.

— Ależ mój panie Morel — rzekł szczerze — nie jesteś wcale w Sannois, tylko u mnie. Przechodziłeś bardzo złośliwą gorączkę i wyznaję panu otwarcie, chwilami umysł twój ulegał jej wpływowi, a nawet majaczyłeś porządnie.

— Więc to było majaczenie — zawołał uradowany Morel — to wszystko, co widziałem w mojej biednej głowie! Ci ludzie, którzy rzucili się na mnie, a potem, to już nic nie pamiętam! Gdzie to ja nie przebywałem! Byłem w Rzymie! W Luwrze z Rubensem... z Davidem! W Anglii z Van Dyckiem!

— Ależ ojczulku — zdobyła się na odwagę Lusia. — Czy my to oboje nie przebywamy zawsze razem z tymi wielkimi mistrzami. Ale teraz, to tylko ja będę z tobą, bo mamy obecnie ładne prace do wykonania... bo trzeba ci wiedzieć, że ty tylko w snach gorączkowych odnawiałeś obrazy księcia indyjskiego z Kiwani!

— Tak, to jest prawda — potwierdził malarz, przypatrując się uważnie miniaturom, leżącym na stole.

Twarz doktora rozjaśniła się jeszcze bardziej. Z wdzięcznością i uznaniem spojrzał na Lusię, oceniając jej przytomność umysłu.

— A jeszcze więcej dostarczę ci tych miniatur — mówiła Lusia dalej — chyba, że zechcesz już całkiem powrócić do nas, do swojej pracowni?... Do naszej pracowni!...

Ostatnie słowa córki przyjął pan Morel lekkiem drżeniem.

— Nie, jeszcze nie mogę powrócić — rzekł poważnie. — Nie chcę jeszcze opuszczać mojego zacnego doktora, który mnie tak troskliwie wyleczył z tej gorączki... A zresztą — dodał żartobliwie — skoro zapakowaliście mnie do szpitala, to wyjść z niego nie mogę bez piśmiennego pozwolenia doktora. Ale odwiedzać mnie możecie codziennie. Prawda, doktorze?

— Tak, ale nie wszyscy razem! — odparł dyrektor. — Chory, jak tylko lepiej się trochę czuje, to zaraz zucha udaje. Jedna osoba dziennie może przychodzić. Tylko pan le Kerlack odwiedzać może dowolnie, bo przypuszczam, że po tak długiem niewidzeniu wiele macie sobie do opowiadania!

— Mój biedny Piotr! — rzekł pan Morel — wyciągając ręce do brata. — Pewnie, że mamy niejedno do omówienia. Wiesz, jak tylko cię ujrzałem, uczułem, że ze mną już będzie dobrze, a teraz zapewniam was moi drodzy, że znajdę w sobie dosyć siły, aby powtórnie nie zapaść w tę niedobrą gorączkę.

Wyjaśnienia fakira.

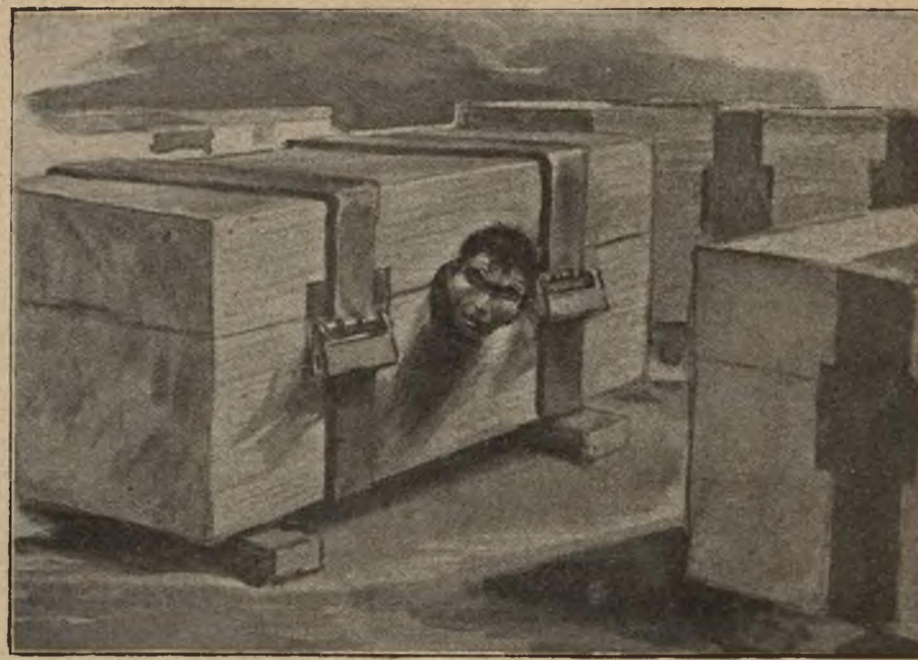
Tydzień ten był dla księcia Kiwani i doktora Gewolskiego pełnym sławy i znaczenia. Miejscowe dzienniki rozpisały się szeroko o dokonanem, wielkiem doświadczeniu naukowem, a wiadomość tę podawano sobie z ust do ust. Książe Kiwani na wzór pełnego próżności autora, który zbiera skrzętnie każdą wzmiankę, uczynioną o nim publicznie, odbierał przez specyalne agencye, wycinki z artykułów dziennikarskich, gdzie omawiano to ciekawe zdarzenie. Porobiono fotograficzne zdjęcia z laboratoryum doktora Gewolskiego, ze wszystkimi jego przyborami, podawano podobizny księcia wraz z jego uczonym przyjacielem...

Młody fakir Kirtak otrzymał kilka niepochlebnych wzmianek, nie miano jednak słów pochwały dla „starca świętego“, który z narażeniem życia poddał się tak niebezpiecznemu przedsięwzięciu w tak szlachetnym celu, nie chcąc osobiście w niczem korzystać z dobroczynności indyjskiego władcy! Jednakże angielskie dzienniki trochę niechętnie patrzyły na dobrodziejstwa księcia, czynione dla jego kraju i na wyjawienie strasznej nędzy, panującej w Indyach. Anglia nie lubi, gdy się o tych rzeczach mówi głośno.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Scena z życia więziennego w Urdze.



Ludzie i obyczaje w Mongolii: Więzień wychylający głowę przez otwór ze swojej skrzyni.

Szturm kobiet do Sejmu.

(Do illustracyi na str. 4).

Reforma ordynacyi wyborczej do Sejmu znalazła nowych malkontentów, a mianowicie — kobiety. Są to bodaj najgroźniejsi przeciwnicy mozolnie poczętego dzieła naszych polityków, a przy wiadomej solidarności kobiet wszelkich stanów i zawodów, echa tego niezadowolenia dotrą do nich drogami najróżniejszemi – przez siostry, żony, przyjaciółki — bo nasze sufrażystki obiecały dochodzić „swej krzywdy“. Krzywdę tę miał właściwie przedstawić dosadnie wiec, kobiet zwołany w tych dniach do sali Ligi pomocy przemysłowej we Lwowie. Wiec ten zgromadził tłumy pań oraz wszystkie tamtejsze działaczki społeczne. Wymowne prelegentki (bo czy może być kto wymowniejszy od prelegentki — chyba druga prelegenta) otóż prelegentki te przedstawiły zebranym perfidyę stronnictw politycznych (męskich), które od pół wieku obiecują naszym kobietom czynny udział w polityce kraju, a obecnie w nowej ustawie nic dla nich nie uczyniły. Obrady wiecu zamknięto uchwaleniem zbiorowego protestu, piętnującego nową ordynacyę, wykluczającą kobiety z prac nad nią i sprawami publicznemi i domagającego się od Sejmu, by zajął się gorliwiej kwestyą równouprawnienia kobiet — w przeciwnym razie kobiety chwycą się energicznych środków walki!... Jakie to będą środki, groźny protest nie wspomina. Wzory wojowniczej akcyi dały już sufrażystki angielskie — wiadomo, że przy dobrych chęciach panie potrafią nam obrzydzić życie, nie tylko polityczne, ale i ściśle prywatne. „Akty“ zaś polityczne, jak oplucie posła lub ministra, połamanie mu cylindra etc też nie należą do rzeczy przyjemnych.

Pamiętajcie więc o tem panowie politycy, zwłaszcza jeżeli jesteście... żonaci.



Znowu katastrofa kolejowa: Rozbite wagony na stacyi Brześć Litewski.



Ludzie i obyczaje w Mongolii: Więzienie w m. Urdze. Więźniowie siedzą zapakowani w skrzyniach.

Kronika tygodniowa.

Aczkowiek wchodzimy już w drugi tydzień wielkiego postu, ja ciągle jeszcze myślą jestem w karnawale, bo teraz dopiero zbiera się zeń pokłosie.

I tak przekonuję się, że miałem racyę, twierdząc, że tego roku mieliśmy zmniejszony popyt na rynku małżeńskim, stwierdzają to doniesienia pism codziennych, podające liczbę zawartych w ostatnią niedzielę karnawału związków serdecznych we Wiedniu. Było ich tylko tysiąc, to jest o dwieście mniej, niż w roku poprzednim.

Minister wojny i obrony krajowej, choć synowie Marsa, obaj w strachu, horoskopy na przyszłość bardzo niepomyślne.

Zupełnie to samo, w mniejszych jednak rozmiarach, zauważyliśmy i w Krakowie, wiem to, wprawdzie nie z urzędowego komunikatu biura statystycznego, bo ono zajęte jest obecnie zestawianiem list wyborców, żyjących i już zmarłych, ale z wiarogodnych ust pewnej starej panny, która najdokładniej poinformowaną jest o ruchu małżeńskim na całem terytoryum rozszerzonego Krakowa.

Mielibyśmy byli o jedno szczęśliwe stadło więcej, gdyby nie był skrewił niejaki pan Dudek.

Potrafił on wstępnym bojem zdobyć sobie serce pewnej podmiejskiej piękności, która, po głębokim namyśle zdecydowała się oddać mu serce, rękę itd.

Wszystko było już gotowem do ślubu, cały orszak weselny z panną młodą i licznem gronem gości był już w kościele, nie można się było doczekać jedynie na pana młodego i drużbę.

Biedna, słodyczy małżeńskich spragniona dziewica wzdychała z tęsknotą, goście, którzy, spodziewając się obfitego poczęstunku, od rana nic nie jedli, klęli, na nic się to przecież nie zdało, pana młodego, jak nie było, tak nie ma!

Już i kościelny zaczął się irytować, gdy wtem zjawia się w kościele drużba i donosi, że pan młody bardzo przeprasza, ale przybyć nie może, jest bowiem chwilowo „przeszkodzony“, gdyż jeszcze rano wyjechał *incognito* za granicę...

W towarzystwo, jakby piorun trzasł! Najbardziej, rzecz łatwo zrozumiała, lamentowała biedna oblubienica, która nie mogła się pogodzić z myślą, iż pan Dudek wystrychnął ją na dudka! Bardziej jeszcze bolało ją to, że wybraniec jej serca nie zapomniał naciągnąć ją na kilkaset koron!

Pal sześć narzeczonego, można złapać innego dudka, z koronami nie pójdzie tak łatwo!

W nadziei, że przecież znajdzie się zguba, rozpisano za uciekinierem listy gończe, z których dowiadujemy się, że niedoszły małżonek ubrany był w czarny, nowy garnitur, lakiery i półcylinder.

Ktoby wiedział coś o zbiegu, zechce zawiadomić o tem narzeczoną, a zyska jej dozgonną wdzięczność, nie potrzebuje się jednak spieszyć, ślub bowiem może się odbyć dopiero po ukończeniu postu.

Druga małżeńska historya, również tragiczna, choć innego nieco rodzaju, wydarzyła się w spokojnem Monachium, kędy żył sobie obywatel, któremu sprzykrzyły się słodycze małżeńskiego pożycia z prawnie poślubioną niewiastą. Zaczął się więc oglądać za innemi kobietami. I stało się, że rozgorzał występną namiętnością ku jednej z nich, co tak rozgniewało prawowitą małżonkę, że opuściła dom mężowski i udała się do swych rodziców, a na odjezdnem rzekła mu z pasyą:

— Dmuchaj sobie sam w ognisko domowe!

I byłby może i dmuchał, gdyby mu w tem nie przeszkodziły inne niewiasty.

Litość obsiądła ich serca, postanowiły więc pomścić zdradzoną koleżankę. W liczbie około trzechset pieszych amazonek urządziły wyprawę wojenną na mieszkanie niewiernego małżonka, zdobyły je szturmem, wypędziły przyjaciółkę, a jego zmusiły do napisania pokornego listu do żony, w którym obiecuje poprawę i zaprasza do powrotu.

Ale z niewiastami nie taka łatwa, jakby kto może myślał, sprawa! Bojąc się, by się nie rozmyślił, pozostawiły na miejscu straż, która miała czekać, aż zdradzona połowica powróci pod dach skruszonego małżonka.

Te dwa przykłady niech będą przestrogą, pierwszy dla zbyt łatwowiernych niewiast, które różne Dudki lubią wystrychnąć na dudka, drugi dla mężów, szukających zakazanych owoców!

Nie każda jednak podwika, mając z tyranem swym jakieś porachunki, opuszcza go, jak to uczyniła owa Bawarka! Krakowianki mają bardziej ognisty temperament i sprawy podobne regulują w inny sposób, jak o tem miał sposobność przekonać się na swej skórze pewien obywatel.

Jak donosi niedzielna „Reforma“, do kamienicy przy ulicy Starowiślnej wszedł sobie spokojnie jakiś pan H. i, stojąc w sieni, czytał spis lokatorów.

Nagle wybiegła z suteryny jakaś kobieta i myśląc, że to jej mąż, rzuciła się nań i prozaicznym szaflikiem zadała mu w głowę, czy też może w inną część ciała, cios tak potężny, że padł omdlały na ziemię. Losem nieszczęsnej ofiary nieporozumienia zajęło się pogotowie Towarzystwa ratunkowego.

Otóż, jeśli ów pan H. jest dotąd kawalerem, przyszedłszy do zdrowia, z pewnością wyrzeknie się przyjemności małżeńskiego pożycia, czemu ja się zupełnie nie dziwię. Lepiej żyć na świecie *solo*, niż *w duecie* z tak wojowniczą kobietą.

Z drugiej jednak strony muszę się ująć za płcią nadobną, której nieobliczalne szkody wyrządzają osobniki w guście owej pani z suteryn przy ul. Starowiślnej. Dzięki jej, wielu mężczyzn przeniesie starokawalerstwo, choćby nawet wysoko opodatkowane, nad ciągłą wojnę domową, *ergo*, ileż to dziewic napróżno będzie wzdychać do owego królewicza z bajki, który w żaden sposób nie chce się zjawić na podwórku i poprosić mamę o rączkę jej córy!

Czyn taki, wysoce karygodny, powinien też znaleźć i odpowiednią zapłatę, a autor lub autorka przyszłego kodeksu karnego powinni uwzględnić tę okoliczność i ustanowić odpowiedni paragraf.

W ten sposób przeszkodzi się tworzeniu nadmiaru sufrażystek, które, jak wiadomo, rekrutują się głównie z pomiędzy starych panien.

Skoro już poświęciłem sprawom niewieścim tyle miejsca, pozwolę sobie jeszcze dłużej nudzić Czytelników, ale dla odmiany przeniosę się duchem do Japonii, gdzie jedno z pism kobiecych urządziło ankietę pomiędzy swemi czytelniczkami, aby się dowiedzieć, jakich przymiotów żądają od mężczyzn.

Siedmnaście nadesłanych odpowiedzi ogłoszono, są one zaś bardzo zajmujące, gdyż stanowią pewną krytykę płci, tak zwanej brzydkiej i zaznajamiają nas z męskimi ideałami Japonek.

Ideał Japonki powinien posiadać następujące cnoty:

1) Nie powinien być skąpy.
2) Nie powinien się stroić.
3) Powinien wyglądać po męsku.
4) Nie powinien być zbyt poufały w obcowaniu z kobietami.
5) Powinien na wszystkie pytania kobiet dokładnie odpowiadać.
6) Powinien być zdecydowany i przytomny.
7) Powinien posiadać jakiś ideał.
8) Powinien żonie pozostawić rozporządzenie pieniądzmi w obrębie rodziny.
9) Nie wolno mu pokazywać się w kuchni.
10) Nie powinien nigdy krytykować fryzury ani tualety żony.
11) Nie powinien zbytnio nudzić kobiety w sprawach dotyczących jedzenia.
12) Nie powinien się wtrącać do spraw żony.
13) Nie powinien przy bliższej znajomości stać się wstrętnym kobiecie.
14) Powinien być litościwy.
15) Nie powinien za często i za długo przebywać poza domem.
16) Nie powinien być w sobie zakochanym.
17) Nie powinien być zbyt zazdrosnym.

Ktoby z pośród P. T. Czytelników sądził, że posiada te cnoty, radzę mu, niech jedzie do Japonii, a może tam zrobić karyerę bez obawy narażenia się na żółte niebezpieczeństwo, którem cesarz Wilhelm swojego czasu tak straszył Europę.

Pokazało się, że w gruncie rzeczy miał racyę, czytamy bowiem, iż rzeczywiście grozi nam ono, na razie pod postacią zalewu całego świata jajami chińskiemi i japońskiemi. Kury tamtejsze, nie zepsute jeszcze wpływem europejskiej kultury, są daleko nośniejsze, niż nasze, synowie zaś państwa niebieskiego i wschodzącego słońca wynaleźli jakiś znakomity środek na konserwowanie jaj, które u nas, choć sprowadzone zza morza (jeśli tak wolno się wyrazić, gdyż przybędą do nas koleją *via* Syberya!) będą tańsze, niż miejscowe.

Opiekunowie przemysłu krajowego będą więc mieli tę przyjemność, iż spożyją chińską jajecznicę na duńskiem maśle i zagryzą ją morawskim chlebem.

I niech kto śmie powiedzieć, że Galicya nie jest krajem rolniczym!

Ani rusz jakoś nie udaje mi się rozpocząć seryi rozmyślań wielkopostnych, choć z pod znaku pączka weszliśmy już w zupełności pod znak śledzia marynowanego (który, mówiąc nawiasem, także podrożał!) Karnawał szumi mi jeszcze w głowie, choćby z tego tylko powodu, iż w pierwszych dniach miesiąca musi człowiek regulować rachunki i obiecywać wierzycielom, że ruszy kieszenią, niechby tylko weszła w życie pragmatyka służbowa, a z nią poprawa stosunków ekonomicznych. Kronikarz wówczas, aczkolwiek nie jest cesarsko-królewskim, automatycznie przesunięty zostanie co najmniej do szóstej rangi, otrzyma też odpowiednie pobory, które pozwolą mu zaspokoić wreszcie raz przyjaciół z czarnej giełdy, czekających cierpliwie na ów złoty deszcz.

Wówczas będzie można poświęcić się rozpamiętywaniu swych karnawałowych grzechów i śpiewaniu gorzkich żali, oraz przygotowaniom do zbliżających się świąt Wielkiejnocy.

Byłbym barbarzyńcą, gdybym bodaj kilku słowami nie wspomniał o dwu bardzo ważnych zdarzeniach z ubiegłego tygodnia, zwłaszcza, że dotyczą one Krakusowego grodu.

Otóż w dniu 26 lutego sejm galicyjski uchwalił przyłączenie Podgórza do Krakowa, w nocy zaś z dnia 27 na 28 zabłysły po raz pierwszy w śródmieściu elektryczne lampy. Stało się to punktualnie o północy, obserwatorya Wentzla i Hawełki pełne też były astronomów, którzy chcieli widzieć nowe światło, mające zwiastować lepszą przyszłość, na swoje własne oczy.

Nie każdy jednak wyszedł na tem dobrze, zwłaszcza żonaci, którzy nie postarali się wcześniej o tak zwany „przezczas“, narzekali nazajutrz na fluksyę... Czy przypadkiem co innego nie było powodem zapuchnięcia oblicza, stwierdzić nie zdołałem. Ja wyszedłem cało, wytłumaczyłem się bowiem obowiązkami kronikarskimi.

Z większej polityki zanotować wypada podróże ks. Wied, który po kweście objeżdża rzeminnym dyszlem dwory europejskie, ale jakoś w żaden sposób nie może się zdecydować na objęcie tronu albańskiego, czekającego nań niecierpliwie. Świeżo odmalowany przedstawia się wcale przyzwoicie i choć skrzypi i trzeszczy, trzyma się jakoś kupy.

Książę, a raczej nowy król, aczkolwiek nie posiada jeszcze własnej armii, sprawił sobie już jeneralski mundur z albańskim dwugłowym orłem, który z pragnienia wystawił na widok publiczny czerwony język, a schowa go dopiero wówczas, gdy się go napoi koronami i lirami.

Większy daleko kłopot wszelakim politykom sprawia natomiast nieszczęśliwy Menelik, który tyle razy już umierał, a przecież podobno żyje i cieszy się doskonałem zdrowiem. Interesował się pono, jak donoszą pisma codzienne, dyskusyą „lodową“ w krakowskiej Radzie miejskiej, przemówień zaś sejmowych posła Starucha, który jest jego ulubieńcem, uczył się nawet na pamięć. W dowód uznania wysłał mu też przez specyalne poselstwo oswojonego krokodyla.

Znowu katastrofa kolejowa.

Stacya Brześć Litewski była w dniu 26 z. m. terenem wielkiej katastrofy, której ofiarą padło kilkanaście osób, odnosząc ciężkie rany. Katastrofa miała następujący przebieg: O godz. 9 wieczorem, pociąg pocztowy, przybywający z Chełma, najechał na manewrujący na stacyi parowóz. Skutki tego zderzenia były fatalne. Cztery wagony pociągu pocztowego zostały zupełnie rozbite. Dziewiętnaście osób odniosło rany, z nich 6 bardzo ciężkie; odwieziono je do szpitala w Brześciu.

Komunikacya na tej linii wskutek zatarasowania odłamkami wagonów uległa przerwie i podróżni kilku pociągów zmuszeni byli przesiadać się.



Narodziny nowego państwa: Deputacya albańska u ks. Wieda w Neuvied. 1) ks. Wied, 2) ks. Zofia Wied, 3) przywódca deputacyi Essad pasza.

Ludzie i obyczaje w Mongolii.

Mongolia, ta dawniej „źle przymocowana“ część olbrzymiego imperyum chińskiego, a obecnie już samodzielne państwo, zaczyna przyciągać ciekawość podróżników. Szczególnie badacze angielscy zwiedzają ją teraz gorliwie i wydali o niej cały szereg dzieł, w których opisują bardzo ciekawe obyczaje i urządzenia plemion, zamieszkujących południową jak północną Mongolię. Religia tych plemion jest dziwną mieszaniną uwielbienia zjawisk natury, będącego najdawniejszem wierzeniem prostego ludu, bałwochwalstwa oraz pewnego rodzaju deizmu, przyniesionego przez lamaizm z Tybetu. Do tego dodać należy jeszcze kult przodków, przejęty od Chińczyków. Ich bóstwa, to zarówno pewne góry i drzewa, jak bałwanki, wyobrażające różnych pomniejszych demonów, dobrych i złych, jak wreszcie Istota najwyższa, nie mająca wcielenia, lecz czczona i przyzywana przez kapłanów, szamanami zwanych, w chwilach religijnej ekstazy. Zajmująca jest n. p. oryginalna ceremonia religijna, wzywanie przez kapłana dobrego ducha, który ma opiekować się nowym domem. Zaklęciom szamana akompaniują piekielne dźwięki orkiestry, złożonej z rogów, trąb na 10 stóp długich, bębnów, fletów, cymbałów i trąbiących muszli. Ze skupieniem i nabożeństwem przysłuchują się temu



Wystawa przemysłu rodzimego w Przemyślu: Fragment wystawy. (Fot. M. Todt, Przemyśl).



Wystawa przemysłu rodzimego w Przemyślu: Komitet organizacyjny z prof. Przybylskim w pośrodku.



Zamach na biskupstwo w Debreczynie: Ofiara wybuchu, sekretarz biskupa ks. dr. Slepkowski. (Do artykułu na str. 9).

i przypatrują zwykli Mongolowie ze starszym plemienia na czele. Obok tych ceremonii odbywają Mongołowie corocznie w swoich stałych koczowiskach napoły religijne, napoły atletyczne igrzyska, w których program wchodzą zapasy na koniach i t. p., a kończy je, naturalnie, generalne objadanie i opijanie się. Na igrzyskach tych można obserwować ciekawe typy szamanów czyli czarowników, kapłanów lamaickich, wodzów plemion, wizerunki bóstw, umieszczone na drzewach z buńczukami i t. d. W południowo-zachodniej Mongolii wpływ lamaizmu jest silniejszy. Buddyzm też lamaicki jest religią panującą, z zupełnem niemal wyłączeniem pogaństwa północnego. Do godności kapłanów lamaickich przygotowują się młodzi Mongołowie specyalnie długim nowicyatem, który kończy się zdaniem egzaminu przed



Zamach na biskupstwo w Debreczynie: Ofiara wybuchu, adwokat dr. Csatth.

mongolskim zastępcą Buddy na ziemi, względnie najwyższego lamy z Lassy w Tybecie, zamieszkującym w mieście Urga na północy, a zwanym „chutuchtą". Przed świątynią o wysokich stopniach, na specyalnym tronie siedzi wtedy najwyższy lama, a młodzi kandydaci klęczą przed nim w wielkiem półkolu, podczas gdy kilku wybranym zadaje on pytania.

Jeżeli jednak obyczaje religijne Mongołów uderzają nas tylko oryginalnym egzotyzmem, to n. p. sposób traktowania więźniów, czy to zwykłych, czy „politycznych" tchnie barbarzyńskiem okrucieństwem. Więzienie stanowi ciemny loch podziemny, w którym stoi szereg wielkich kufrów, niby trumien, dobrze okuciami zamkniętych, tylko z przodu mających niewielkie otwory. W te kufry zapakowują nieszczęsnych więźniów, którzy oczywiście niewielką



Jeden z najpiękniejszych zakątków na ziemi: Ogród w Getsemanii.

mają tam swobodę ruchów, a gdy zapragną... „świeżego powietrza", mogą wytknąć głowę przez one otwory. Naturalnie sposób traktowania więźniów i odżywianie ich odpowiada tej „humanitarnej" metodzie ich „przymykania" — dosłownie. Ludzie i obyczaje Mongolii znajdują się jeszcze na stopniu pierwotnej niemal dzikości; od cywilizacyi chińskiej zapożyczyli oni tylko jej najgorsze strony, które od dzikości niedaleko odbiegły.

Sroda popielcowa w Warszawie.

„Kto nabroił w tańcu wiele
Temu śledź do stóp się ściele..."

Takie motto jedynie nadaje się do artykuliku o środzie popielcowej — smutnej w nastroju — jak twarz tancerki przez cały karnawał „rzepkę skrobiącej". Popielec kładzie tamę hucznemu rytmowi życia karnawałowego, zaczyna okres odpoczynku, pokuty i... postu, od wielu przyjemnych rzeczy, jakie w poprzednim czasokresie były dostępne. Środa popielcowa jest postrachem rodu niewieściego, a to dzięki złośliwemu zwyczajowi... przypinania klocków. W Warszawie zwyczaj ten kwitnie doskonale dzięki sprawności rąk i nóg urwiszów ulicznych, którzy od rana grasują już po mieście przyczepiając przechodzącym niewiastom, bez względu na ich wiek i stan klocki różnego kalibru. Nierzadko dostanie się klocek staruszce 60-letniej, młodsze do 45 roku życia włącznie, też nierade defilować ulicą z przypiętą z tyłu główką śledzia lub czemś podobnem. Niestety klocek, jak i stan jemu podlegający (tj. mimowolnie bezżenny) nie zależy od pań, ani ochoty, to vis maior...



Minister Makłakow w Warszawie: Minister w towarzystwie p. o. gen. gubernatora Essena opuszcza dworzec.

Wystawa przemysłu rodzimego w Przemyślu.

Przemysł i handel — to dwa konieczne organy każdego normalnie żyjącego narodu. Społeczeństwo polskie znajduje się dotychczas pod tym względem w położeniu niezbyt korzystnem. To też wytworzenie własnej rodzinnej wytwórczości jest obecnie jednem z ważniejszych zadań społeczno narodowych. W szeregu usiłowań, zmierzających do tego celu, jest zorganizowana w Przemyślu Wystawa przemysłu rodzimego.

Wystawa, która trwała od 15 do 25 z. m., została bardzo obficie obesłaną przez firmy krajowe i dała doskonały przegląd naszej wytwórczości, zwłaszcza w zakresie rzeczy drobnych, służących do codziennego użytku, jak wyroby galanteryjne, materyały pisemne, wyroby lniane i bawełniane, słomianki, cukry, biszkopty, pierniki i wiele innych.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy wnętrze wystawy oraz komitet organizacyjny.



Ludzie i obyczaje w Mongolii: Egzamin młodych kandydatów na kapłanów lamaickich.



Środa popielcowa w Warszawie: Tradycyjne przyczepianie „klocków".

Minister Makłakow w Warszawie.

Dnia 28 lutego przybył do Warszawy z Petersburga minister spraw wewnętrznych Makłakow. Przyjazd ministra związany jest z 50-tą rocznicą uwłaszczenia włościan, którą władze administracyjne uczciły uroczystym obchodem w Warszawie i całem Królestwie. Ministra powitali na dworcu przedstawiciele władz i policyi, poczem powozem udał się on do zamku.



Siostry Wiesenthal: Walc „Nad modrym Dunajem".



Z sali odczytowej: Poeta Jan Pietrzycki, który wygłosi odczyt „Miłość w pieśni greckiej" dnia 5 b. m. w Krakowie, a w połowie marca w Warszawie.

Siostry Wiesenthal.

Pośród licznych koryfejek nowoczesnego tańca wyzwolonego z reguł baletu naczelne miejsce obok Isadory Duncau, Loie Fuller i Ruth St. Denis zajmują urocze Wiedenki, siostry Wiesenthal. Nad wszystkimi swemi koleżankami po fachu mają one tą wyższość, że tworząc nową sztukę taneczną znały dokładnie wszystkie arkana baletu klasycznego, którego konwencyonalną rutynę zwalczać chciały. Siostry Wiesenthal należały bowiem dawniej do składu baletu wiedeńskiego, zanim niezależny temperament artystyczny popchnął je na właściwą drogę. Ich taniec zatem zużytkując w technice szczegóły klasycznej szkoły, jest indywidualnem odtworzeniem w ruchu tanecznym i gieście charakteru danego utworu muzycznego. Bezsprzecznie wielką pomocą w tym względzie jest tanecznicom uroda i wdzięk postaci, uwiecznione tyle razy przez znakomitych malarzy i rysowników. Kilku poetów niemieckich pisało dla nich specyalne sceny mimiczne; między nimi był nawet H. Hofmansthal. Wieczór taneczny sióstr zapowiedziany u nas na najbliższy czas wzbudza w sferach artystycznych rzetelne zainteresowanie.



Minister Makłakow w Warszawie: Minister (X) ze świtą zwiedza stacyę filtrów. (XX) Naczelny inżynier stacyi p. Emil Sokal.

Z NASZEGO HANDLU I PRZEMYSŁU.

„Kimono“.

Hasła popierania swojskiego handlu i przemysłu, tak głośno podnoszone w ostatnich czasach powołały do życia cały szereg placówek naszej rodzimej produkcyi, oraz drobniejszych zakładów i sklepów polskich. Jeden z nich właśnie, bardzo ważne źródło zakupu dla naszych pań — specyalny magazyn bluzek otwarła w tym czasie Warszawianka p. H. Pniewska pod firmą „Kimono“ przy ul. Karmelickiej pod l. 7. Właścicielka, rodowita Warszawianka po dłuższej nauce i praktyce w pierwszorzędnych pracowniach warszawskich i zagranicznych, założyła swój magazyn na wielką skalę,



w nadziei, że panie krakowskie mając w niej liczny i doskonały wybór strojów od najtańszych do drogich i wykwitnych — poprą jej zakład. Pracownie zakładu posiadają maszyny elektryczne, oraz olbrzymi wybór materyałów, a także gotowych już bluzek.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 8.

Trójkąt magiczny:

U r b a ń s k i A u r e l i
R ó w n o l e g ł o b o k
B a ł w o c h w a l c a
A n t a g o n i s t a
N a u c z y c i e l
S k a r p e t k a
K a p i s z o n
I n s e r a t
A n o n i m
U l e w a
R y p s
E w a
L a
I

Arytmogryf:

S m o l k a F
M o s k a l
O l s k a
L a m a
K o s
A s
F

Bilety wizytowe: Marszałek powiatu. Skarbnik. Introligator. Okulista. Aptekarz.

Zadanie do przestawienia: Kto nie chce słuchać. musi cierpieć.

Zagadka literacka:

Morzycka.
Andruszewski.
Reymont.
Jeleńska.
Annunzio.
Krzyżanowski.
Orkan.
Narzymski.
Osipowska.
Przybyszewski.
Niewiarowski.
Igłowski.
Czyński.
Kociubiński.
Abgar Sołtan.

Zagadki: Rak. Praczka. Równego sobie. Dziura w płocie.

Łamigłówka: Łukasz Górnicki.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, D. Engelberg Rzeszów, J. Halski Janów, K. Giżyńska Kijów, H. Gliński Kołomyja, J. Lewiński Piotrków, S. Krzyżanowski Podgórze, A. Biliński Lwów, R. Topolnicki Kamieniec, J. Pick Warszawa, J. Maciejowski Lwów, H. Bukowska Winnica, K. Sroczyński Wilno, M. Obst Lwów, K. Ostrowski Sandomierz, J. Antosz Tarnów, H. Popiel Warszawa, R. Michalski Lwów, B. Sługocki Lwów, H. Radomska Kraków, J. Kalinowska Mińsk, J. Kruszelnicki Lwów, J. Zachara Mielec, K. Wyka Tarnów, J. Trepka Sandomierz, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, J. Broda Rzeszów, R. Kinalski Kolbuszowa, J. Scholz Przemyśl, H. Nowacka Przemyśl, S. Linderski Jaworów, J. Leszczyński Rozwadów, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim. D. Zawadzki Jasło, R. Pawłowski Zamość, M. Rawska Głogów, J. Opolski Tarnów, K. Radziński Lwów, J. Jabłoński Lwów, S. Wysoczański Poznań, S. Karwowski Gniezno, G. Górski Petersburg, J. Charzewski Kraków, M. Sokołowska Kraków, A. Siatka Kraków, J. Łopatkiewicz Rzeszów, D. Łopatyński Lwów, K. Ciesielski Warszawa, J. Wysoczański Jasło, A. Więckowska Warszawa. I. Brzostowski Podgórze, J. Strojek Tarnopol, W. Potocka Tarnów, K. Armatys Kołomyja, J. Lisowski Sanok, R. Czarkowski Sokal, D. Chmura Lwów, H Piątek Podwołoczyska, J. Reiter Brody, D. Jahoda Cieszyn, R. Obraczav Morawska Ostrawa, Z. Sperling Wiedeń, H. Trojacka Wiedeń. H. Mróz Janów, M. Zamojski Lublin, J. Cieśliński Rzeszów, K. Kaim Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Roland Warszawa, H. Lindenbaum Jasło, M. Klappholz Rzeszów, M. Münz Stryj, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, H. Limanowski Warszawa, R. Gawiński Kraków, Z. Serwański Jasło, H. Kozicka Tarnów, J. Pytel Kolbuszowa, C. Wang Tarnobrzeg. T. Kępiński Łomża, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn. H. Wiewiórowski Jasło, J. Wilczkiewicz Sanok, J. Jakubowska Kraków, K. Osuchowski Warszawa, J. Lipski Kraków, J. Pawłowski Lwów, S. Fiala Lwów, A. Gralewski Kraków, S. Blatterfeind Kołomyja, D. Rosenbaum Rzeszów, S. Karczmarski Poddębie, M. Krawecki Lwów, A. Bandrowski Częstochowa, S. Medyński Zakopane, J. Kwaśniewski Przemyśl, T. Trąbczyński Przemyśl, D. Schwadron Kraków, W. Świrski Piotrków, S. Rogozińska Kijów, H. Wolański Dąbrowa, M. Kunz Czerniowce, H. Żegartowska Bogucice, H. Mazurkiewicz Lwów, M. Cichocka Brzeżany, W. Kownacki Poznań.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **M. Kunz, Czerniowce.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Wystepy Asty Nielsen. Po paru tygodniach przerwy, Asta Nielsen ukaże się znowu na ekranie teatru świetlnego **„Uciecha“**. Ostatnim razem występowała w dramacie „Primadonna“, obecnie ukaże się w roli komedyowej. Teatr świetlny „Uciecha“ od soboty dnia 28 b. m. rozpoczął przedstawienia komedyi w czterech częściach p. t. „Aniołeczek“. Nowa komedya, w której słynna artystka gra rolę panny, udającej o pięć lat młodszego podlotka, przewyższa humorem i zabawnemi scenami świetną komedyę „Młodość — płochość“, która w Krakowie miała tak wielkie powodzenie, a w której również występowała Asta Nielsen. W nowej roli „Aniołeczka“ jest artystka nieporównaną. Oprócz tej komedyi wchodzą w program pierwszorzędne obrazy, jak dramat „Przyjaciel słoń“, z królami pustyni, świetna humoreska „Bubi i straszny lew“, widoki z natury, najnowsze mody oraz naukowy obraz z dziedziny metalurgii żelaza, firmy Gaumont, zapoznający widza z techniką produkcyi zastosowania najpotężniejszego obecnie metalu.

Z półek księgarskich.

Raptularzyk kieszonkowy na rok 1914. Jak w innych latach, tak i w tym roku wydała lwowska fabryka ksiąg handlowych i kopiałów „Leopolia“, znany swój raptularzyk kieszonkowy. Prawdziwie ładna, wygodna i pożyteczna ta książeczka, zwłaszcza dla adwokatów, notaryuszy, lekarzy, kupców, przemysłowców i wszystkich tych, którzy terminy sądowe i wekslowe, lub też zdarzenia z dnia zwykli zapisywać, a zapiski te zawsze zwykli nosić przy sobie Książeczka bardzo tania, w formie notatki kieszonkowej, już wyrobiła sobie stałą klientelę i jest do nabycia w każdym lepszym handlu papieru i w każdej księgarni.

Chcecie wiedzieć, co najnowsza moda na sezon wiosenny i letni przynosi? Wielki magazyn „Au Prix Fixe“ **Wiedeń I., Graben 15/7**, jako najlepsze źródło zakupów, powszechnie znane, posyła na żądanie bogato zaopatrzoną kolekcyę próbek najnowszych materyałów, jak również wspaniale illustrowany katalog główny zupełnie darmo.

Jules Rosni sen.

Trucicielka.

Dzieciństwo moje i młodość — opowiada galernik — niewiele mi zostawiły przyjemnych wspomnień. Jako pięcioletnie dziecko dostałem się pod opiekę macochy, która morzyła mnie głodem i za skromne porcye chleba i zupy kazała mi płacić potrójnemi porcyami policzków, szturchańców i pięści, wymierzanych mi przez nią co chwilę. W czternastym roku zacząłem już sam zarabiać na siebie. Oddano mnie do kupca kolonialnego, starego pijanicy, na posyłki. Łotr nie oszczędzał moich nóg. Później próbowałem rozmaitych lecz zawsze jednakowo mało zyskownych zawodów. Byłem pakowaczem, tragarzem, roznosicielem gazet. Umierałem z głodu jak pies bezpański, i w dodatku okrutnie oszukała mnie kobieta, którą kochałem nad życie.

W dwudziestym siódmym roku życia, straciwszy mizerną posadę w Lyonie, wybrałem się do Paryża, piechotą. Było to jesienią. Zaraz w drugim dniu mej podróży pogoda stała się okropną i musiałem całemi długiemi godzinami wlec się wśród wichru i deszczu. W niektóre wieczory udawało mi się: zagrodnik jaki udzielał mi ze swej wieczerzy talerz zupy, dawał kąt w stodole na słomie lub sianie. Ale przeważnie spędzałem noce pod gołem niebem i szczękałem zębami. Rozmyślania moje o bliźnich były, naturalnie, niezbyt pochlebnej dla nich treści. Naczytałem się dość różnych książeczek i broszur — zawsze lubiłem czytać — i używałem sobie, gromiłem społeczeństwo górnobrzmiącemi frazesami. To przynosiło mi pewną ulgę, ale oczywiście mało polepszało moją dolę.

W szóstym dniu podróży dwaj żandarmi aresztowali mnie w kartoflisku, gdzie spędziłem noc. Oświadczyli mi, że jestem mordercą i poprowadzili pod bagnetami do najbliższego miasta. Tam sędzia śledczy zaczął wyciskać mnie pytaniami i badaniami jak cytrynę, aż dowiódł mi niezbicie, że zamordowałem niejakiego Becquette, który mieszkał samotnie w swym małym domku opodal wsi Monneterre. Jakaś stara baba zapewniała, że widziała mnie o godzinie, kiedy dokonaną została zbrodnia, kryjącego się za płotem. Parobek z sąsiedniej zagrody nie zupełnie poznawał moją twarz, ale przysięgał, że morderca miał taką samą brodę, jak moja, i tak samo był ubrany. Alibi swego, naturalnie, nocując w polu, wykazać nie mogłem; protestowałem więc napróżno. I ponieważ nie mogłem dowieść, że jestem niewinny, więc sądzono mnie o zbrodnię morderstwa. W ciągu całych trzech godzin prokurator dowodził mej zbrodniczości, a mój obrońca przez całą godzinę przytaczał dowody mej niewinności. Pewną wątpliwość udało się jednak adwokatowi zasiać w mózgach przysięgłych. Uznano mnie winnym, ale... „z uwzględnieniem okoliczności łagodzących". Następnie przewodniczący trybunału oświadczył mi, że jestem skazany na dożywotnie ciężkie roboty.

Byłem tem wszystkiem nietyle oburzony, ile zaskoczony i przybity. Po tylu klęskach mogłem naturalnie znieść i ten, najsilniejszy cios... Pomimo to próbowałem jeszcze protestować, choć dla formy; potem machnąłem ręką. Wywieziono mnie więc w towarzystwie ojcobójców i innych podobnych zbrodniarzy. Myślałem, że zaczęły się dla mnie dni jeszcze cięższe, niż te, kiedy co chwilę czułem nad sobą pięść macochy. Omyliłem się. Więzienie w zesłaniu od pierwszych zaraz dni okazało się znacznie przyjemniejszem, niż moje dawne życie na wolności. Braku pracy obawiać się nie miałem powodu; pożywienie miałem zabezpieczone. Porcye były z początku skąpe i jałowe; ale dozorcy więzienni okazywali mi mniej pogardy, niż jej doznawałem od ludzi, z którymi stykałem się na wolności. Widzieli już oni wszelkiego rodzaju ludzi podczas swego urzędowania — przyzwyczaili się. Dzięki mojej potulności i zamiłowania porządku miałem dobrą markę u przełożonych; praca pozwalała mi na pewne dodatki i urozmaicenie pożywienia, a sprawowanie się przyniosło mi nawet zupełnie nieoczekiwane ulgi. Żyłem w dostatku, jakiego nigdy nie zaznałem i nie kosztowało mnie to żadnych nadzwyczajnych trudów.

Po upływie dłuższego czasu osiągnąłem szczyt tego, o czem może marzyć galernik; wydzielono mi kawałek gruntu i pozwolono założyć mały sklepik artykułów spożywczych. Interesa moje poszły dobrze i jednego mi tylko brakowało: żony.

Z początku nie myślałem o tem; pierwsze moje przygody miłosne zostawiły mi zbyt przykre wspomnienia. Ale po pewnym czasie młodość zażądała swoich praw; zacząłem upatrywać sobie żony. Nie było to jednak łatwe: kobiet było mało, a i te, które były, napełniały mnie tylko wstrętem i trwogą. Jedne były brodate, jak starzy marynarze, drugie ohydnie brzydkie, a wszystkie podejrzane, straszne. Pogodziłem się ze swojem stanowiskiem. W największej nędzy nie ukradłem nikomu ani centyma. I kobieta-morderczyni, zbrodniarka, nie mogła, rzecz jasna, budzić we mnie zachwytu. Pozostawiłem innym ubieganie się o serce czarownicy, która usmarzyła całą rodzinę, przyjemnej damy, która miała na sumieniu śmierć kilku sierót. Wreszcie ukazała się na scenie trucicielka.

Była to piękna kobieta ze wspaniałą grzywą czarnych włosów, z białemi, ostremi, jak u wilczycy zębami, wysoka, tęga. Jej pozostawało jeszcze piętnaście lat kary i ona zasługiwała na to w zupełności. Ona nietylko otruła swoją przyrodnią siostrę, ale zrobiła to z premedytacyą i z chęci zysku. — Prawda, że grała tu rolę i chęć zemsty; tamta starała się podstępnie pozbawić ją spadku. Trucicielka miała wielki wybór konkurentów. Kilku głośnych bandytów zapalczywie starało się o jej względy i tylko trudność porozumiewania się między galernikami miarkowała te konkury. Ale trucicielka odrzuciła wszystkich. Z początku i ja nie byłem szczęśliwszy od innych. Moje namiętne spojrzenia nie mogły pokonać jej obojętności. Stopniowo — zakochałem się w niej poprostu. Obraz jej stał mi w oczach dniem i nocą. Usychałem z miłości — do zbrodniarki. A moje oświadczyny zostawiła ona bez odpowiedzi.

Pewnego razu moje manewry w połączeniu ze szczęśliwym przypadkiem pozwoliły nam się zetknąć osobiście. Nie można było tracić czasu. Po raz ostatni zaproponowałem jej wyjście za mnie za mąż. Trucicielka spuściła głowę i spojrzała na mnie z podełba swemi wielkiemi, zielonemi jak u kota oczami:

— Nie chcę wychodzić za mordercę — odpowiedziała brutalnie.

— Jestem uczciwym człowiekiem — wykrzyknąłem oburzony. — Nigdy nie wyrządziłem bliźniemu żadnej krzywdy.

— Niewinny, tak, tak, jak wszyscy — odpowiedziała drwiąco.

— Zupełnie niewinny — potwierdziłem poważnie i z przejęciem.

Trucicielka długo, badawczo, z niedowierzaniem i ciekawością popatrzyła na mnie i odeszła w milczeniu. Ale w kilka dni potem sama już postarała się o to, żebyśmy się spotkali. I natychmiast zapytała:

— To nie łgarstwo?

— Co?

— To, co mi pan powiedział o swej niewinności.

— To święta prawda!

— Szkoda — zamruczała trucicielka. — Pan mi się spodobał. Ale ja chcę wyjść za mąż tylko za mordercę...

Osłupiałem ze zdumienia.

— Ja powiedziałam panu onegdaj co innego — ciągnęła ona dalej. — To tak, zażartowałam sobie. No, cóż... pan pomimo tego jest niewinny?

Gotów już byłem uznać się za zbrodniarza. Ale po wszystkiem, com przecierpiał, i pomimo to, że, jak mi się zdawało, nie dbałem już o opinię ludzką, nie mogłem w tej decydującej chwili sam potwierdzić wyroku sądowego. Pomilczałem przez chwilę i kierowany jakąś wyższą odemnie siłą oświadczyłem:

— Trudno, tem gorzej dla mnie! Nigdy nikogo nie zabiłem i nie okradłem.

Trucicielka roześmiała się chrypliwie i ponuro:

— Nie tak, jak ja!

I, nagle zmieniwszy ton głosu, dodała:

— Więc to prawda, że pan mnie kocha?

Oczy jej płonęły dziwnym blaskiem, co powinno było mnie przestraszyć. Ale miłość nie zna ostrożności.

— Kocham! — odpowiedziałem.

— Niech się pan strzeże! — ciągnęła trucicielka. — Niech pan pomyśli dobrze o tem, co ja zrobiłam przedtem... Przecież będziemy musieli dnie i noce spędzać razem...

Ruszyłem tylko ramionami... Byłem podobny do rozbójnika morskiego, który, wiedząc dobrze, że co chwilę ryzykuje życie i będąc już nawet bogatym, pomimo wszystko rzuca się w niebezpieczeństwo, pociągany przez tajemniczą siłę żądzy przygód.

* * *

Przeszło już dziesięć lat, jak jestem żonaty z trucicielką. Przyznam się, że z początku często spoglądałem z obawą i niedowierzaniem na jej ręce. Ale po przyjściu na świat naszego pierwszego syna uspokoiłem się. Później porodziła mi ona jeszcze trzech malców — tęgich, zdrowych chłopaków... Pan zrozumie teraz, dlaczego nie staram się i wcale nie chcę, aby mnie zrehabilitowano, dochodzono mej niewinności. Z Europy mam tylko okropne wspomnienia — tam cierpiałem nędzę, poznałem rozpacz i zdradę. Tutaj mam dostatek, pewność jutra, wierne przywiązanie, radości rodzinne. Tutaj mnie szanują, albo prawie szanują. I mam dążyć do powrotu tam, gdzie dzieciństwo i młodość moja były jedną ciągłą torturą?... Ach, nie, nigdy, wolę, niech mnie raczej w dalszym ciągu uważają za zbrodniarza!...

KONIEC.

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.
Ułożył Sz. W. Kiliński, Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek powstawiać odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzą nazwisko znakomitego satyryka polskiego, żyjącego pod koniec XVI. wieku.

□ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Kwiat ogrodowy. 3. Postać z mitologii greckiej. 4. Mocarstwo europejskie. 5. Jagoda. 6. Naczynie ozdobne. 7. Dopływ Dunaju 8. Zaimek. 9. Spółgłoska.

Przysłowiówka.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć po jednej literze, idąc trzy razy z góry na dół i utworzyć z nich znane przysłowie:

1) Złe to drzwi, które lada klucz otwiera.
2) Zapomniał wół, jak cielęciem był.
3) Z głupim się nie dogadasz.
4) Zamienił stryjek na siekierkę kijek.
5) Zły to ptak, który własne gniazdo kala.
6) Zagląda w cudze karty.
7) Znaleźli się, jak w korcu maku.
8) Z próżnego nie nalejesz.
9) Za twoje myto jeszcze cię wybito.
10) Zazdrość jest matką głupich.

Łamigłówka.
Ułożył Jaś z Wiśnicza.

Podane nazwiska dni podpisać pod sobą w ten sposób, aby jeden z rzędów pionowych utworzył dzień, rozpoczynający pewien okres czasu:

Poniedziałek, środa, piątek, poniedziałek, wtorek, niedziela, poniedziałek, czwartek.

Łamigłówka.
Ułożył Mietek z Liszek.

Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą coś, co szczególniej cieszyło naszych milusińskich.

mi —
le —
n — l
k — s
— on
— ak
e — s
— wo
— os
l — s
k — y
ar —
ma —

Depesza.
Ułożył Sz. W. Kiliński, Kraków.

Z liter na depeszy ułożyć nazwisko polskiego powieściopisarza i trzy tytuły jego utworów:

Kochana Ryto! Wesele ks. Wisi Rz.
Stefa Sz. Kł.

Logogryf.
Ułożył Sz. W. Kiliński, Kraków.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić odpowiednie litery, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Litery, wstawione w miejsce kwadratów, czytane z dołu do góry, utworzą nazwę jednego z najnowszych wynalazków.

□ — — — —
□ — — — —
□ — — — —
— □ — — —
— □ — — —
— □ — — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto nad Morzem Śródziemnem. 2. Jagoda. 3 Choroba. 4. Drogi kamień. 5 Ciężar opakowania. 6. Wulkan. 7. Część twarzy. 8. Dopływ Dunaju. 9. Ptak.

Bilety wizytowe.
Ułożył Sz. W. Kiliński, Kraków.

Z liter na biletach ułożyć zawód, względnie godność poszczególnych osób.

NATAL SECKI

ART. E. K. PAZ

NIKODEM AD. HAWYLAK

EWARYST PENN RYTKO

LEON ICKYŚ

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Gastona Leroux:* **Duch opery.**

Atrakcyą karnawału jest GRAMOLA



CENNIKI darmo i opłatnie.

Bo Gramola z marką „aniołek piszący" jest udoskonalonym aparatem grającym bez tuby.

Bo Gramola uznaną została przez znawców jako najlepszy aparat.

Bo Gramola gra sztyftem stałym lub zmieniającym się, czysto, naturalnie i bez szmeru.

Bo Gramola jest na karnawał niezbędną w każdym domu.

Bo przy Gramoli można najnowsze tańce: **TANGO, TWO STEP** i t. d. przyswoić sobie i nauczyć się.

Bo na Gramolę można z łatwością przerobić patefon.

Bo Gramola w swej dobroci przewyższa wszelkie inne fabrykaty.

Pierwszy krajowy skład Gramofonów

Jeneralne zastępstwo Akc. Tow. Gram. na Galicyę, Bukowinę i Śląsk

Józefa Wekslera

w Krakowie, Floryańska 25 — **we Lwowie, Sykstuska 2**

Telefon Nr. 1241 — **Telefon Nr. 1560**

Gramofon koncertowy z 10 zdjęciami kosztuje **38 koron.** — Wszelkie płyty prócz „aniołkowych" i „Zonophon" po K 1·50. — Ulgi w spłatach.

Kapitał akcyjny K 40,000.000·—
Stan wkładek K 70,000.000·—

CZESKI BANK PRZEMYSŁOWY

FILIA W KRAKOWIE

RYNEK GŁ. L. 5 — UL. SIENNA L. 2

TELEFON 3339

Wszelkie transakcye bankowe

KANTOR WYMIANY

Kupno i sprzedaż papierów, walut i monet

WKŁADKI

za korzystnem oprocentowaniem.

Co miesiąc świeże żurnale!

Już wyszedł **Butterick's Album z modami żurnal sezonowy** na wiosnę i lato 1914. cena K 1·50, z przesyłką K 1 90, za zaliczką K 2·25.

Nadto Butterick's „Moden Revue" żurnal, który wychodzi 1-go każdego miesiąca. Cena kwartalnie K 1 80, z przesyłką K 2·40.

Ponadto **„Favorit" Album z modami** na wiosnę i lato. — Do wyż wymienionych żurnali dostarcza wszelkie kroje światowej sławy marki **„Butteriks"** na każdą miarę dla Pań i dzieci tylko

Firma: **M. Landau, Kraków, Krzyża 5.**

Co miesiąc świeże kroje!

Co miesiąc świeże kroje! — Co miesiąc świeże żurnale!

Księgarnia G. Gebethnera i Sp. w Krakowie.

poleca książkę treści historyczno-politycznej Eugeniusza Starczewskiego

p. t. **Sprawa polska**

Cena kor. 4·—.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Chcecie wiedzieć

co przynosi najnowsza **moda na wiosnę i lato?**

Zupełnie bez kosztów

prześlemy WP. na żądanie naszą

kolekcyę próbek

zawierającą **nowe, wspaniałe piękne** materyały na

damskie suknie i bluzki

w rozmaitych tkaninach, jakościach i zestawienie różnych kolorów od najtańszych do najdroższych jak również

ilustrowany katalog główny

z najnowszymi modelami konfekcyi damskiej, toalet bluzek, kapeluszy etc.

Wybór, jakość i taniość bez konkurencyi!

GRAND MAGASIN „Au Prix Fixe"

Wiedeń I., Graben 15/7, Aufgang: Habsburgerg. 1.

Uczcie się na „Samouczku" Reussnera w domu przed szkołą, w szkole i po szkole, bo

Samouczek ten stał się już potrzebnym, pomocnym i użytecznym dla każdego, bez różnicy wieku i zdolności umysłowych, kto tylko chce nauczyć się **sam bez pomocy nauczyciela,** zatem **bezpłatnie** czytać, pisać i rozmawiać po: **niemiecku, francusku, angielsku, rosyjsku** i po **polsku** bardzo łatwo, prędko i gruntownie, a przytem tanim kosztem. Albowiem nie potrzebując płacić za naukę, oszczędza się znaczną sumę pieniędzy, a wydatek, zrobiony na **„Samouczek"**, zwraca się **z tysiącznym procentem** każdemu posiadaczowi tego podręcznika, który ma zatem wyższą wartość niż złoto Każdy uczeń, z najsłabszem nawet uzdolnieniem umysłowem, pragnący się uczyć jednego z powyższych języków póza szkołą, albo przygotować się do egzaminu w szkole publicznej, lub do poprawienia sobie złych stopni podczas nauki szkolnej, a najczęściej jeszcze po ukończeniu tejże nauki w szkole, ucieka się o pomoc i ratunek do **„Samouczka"**. Szczególniej zaś, chcąc się nauczyć rozmawiać lub czytać książki w obcym języku, trzeba rozpoczynać na nowo naukę praktyczno-konwersacyjną, przy pomocy **„Samouczka"**. Konwersacya bowiem stanowi kwintesencyę z nauki języków nowożytnych, a tej nie uczą ani w szkole, ani prywatnie z innych podręczników. Około **900.000 zwolenników** metody nauczenia **Reussnera** i **2.000** jego uczniów osobistych zajmujących już wybitne stanowisko dzięki **„Samouczkom"** tym, dają rękojmię o nadzwyczajnej łatwości, praktyczności i użyteczności jego **Samouczków, istniejących od 1880 r.,** których ceny są stosunkowo nizkie, n. p.: hal. 16, 36, 72 i kor. 1·20, 2·40 i 3·60.

Główna sprzedaż w księgarni **S. A. Krzyżanowskiego** w Krakowie, która wysyła prospekt i I szy zeszyt **Samouczka gratis**, po otrzymaniu marki pocztowej za 15 hal.



Strusie pióra

(wprost od fabrykanta) najl. afrykańskie strusie pióra z gwarancyą

długość	szer.	
ca 35 cm.	15 cm.	K 4—5
„ 40 „	18 „	„ 6—8
„ 50 „	18 „	„ 10—14
„ 55 „	20 „	„ 12—16
„ 60 „	22 „	„ 22—30

Pleureusy od K 15 do K 80 (według jakości).

Katalog darmo! **S. Hayek**, magazyn piór **Wiedeń XIV.** Sechshauserstrasse 11—B.

Pierwsze krakowskie biuro dla kupna i sprzedaży

„UNITAS"

w Krakowie, ul. Długa 22, I. p.

przeprowadza wszelkie transakcye przy kupnie i sprzedaży majątków ziemskich, kamienic, wil, parcel, lasów, wyrabia pożyczki hipoteczne wekslowe, prywatne i posady.

Dobre harmonijki K 5·—

Moje harmonijki nie podlegają opłacie cła ponieważ wyrabiane są w kraju

Bez ryzyka! Zamiana dozwolona lub zwrot pieniędzy

Nr. 300 3/4:	10 klaw.,	2 rej.	28 głosów, wielk.	24×12 cm.	K. 5·—
Nr. 6543/4:	8 „	1 „	24 „ „	28×14 „	„ 5·40
Nr. 685/2:	10 „	2 „	50 „ „	28×16 „	„ 9·50
Nr. 3053/4:	10 „	2 „	50 „ „	26×14 „	„ 6·40
Nr. 6631/4:	10 „	2 „	50 „ „	31×15 „	„ 8·60

Samouczek do każdej harmonijki za darmo.



Wysyłka za zaliczką przez c. k. nadwornego dostawcę

Hanns Konrad

dom wysyłkowy towarów muzycznych

w Brüx Nr. 5126 Czechy

Katalog główny z 4000 odbitek na żądanie gratis i franko.

Ozdoba każdego Chrześcijańskiego domu!



pięknie, artystycznie wykonane obrazy Chrystusa Pana i Najśw. M. Panny z trwałego, nigdy niezniszczalnego materyału, obrazy zawsze wyglądają jak nowe. Cena obrazu K 2·50 (1 rub.). W mocnych gustownych ramach po K 3·80 (rub. 1·50), K 6·— (rub. 2·40), K 10·75 (rub. 4·30) i drożej. Rozmiar 45×36 cm., rozmiar większy 65×55 cm. na aksamicie w masywnych złoconych ramach K 14 (rub. 5·50). Dokładny cennik wysyłamy na żądanie. Wysyłka za nadesłaniem należytości lub za zaliczką po otrzymaniu 1/3 gotówki z góry Do Galicyi i za granicę tylko po otrzymaniu całej należności. Poszukujemy zdolnych zastępców we wszystkich miejscowościach Królestwa, Cesarstwa, Galicyi, Austryi i Niemczech.

W. BIERNACKI i SKA, WARSZAWA

Krakowskie Przedmieście 6.

Pół darmo!

Przy mojej fabryce towarów tkackich tworzą się dziennie resztki różnych towarów i ażeby nagromadzeniu się zapobieć zmuszony jestem oddawać je za każdą cenę. **Kto chce swoją rodzinę na długie lata zaopatrzyć w bieliznę i ubrania,** temu posyłam na żądanie za

18 kor. 40 metrów resztek

zawierających: Najlepsze płótno na pościel, mocny oxford na koszule, cienkie zefiry, materyały na suknie i bluzki kolorowe i lniane. **Wszystkie resztki są tylko dobrej jakości, pod gwarancyą wolne od błędów i doskonałe do prania.** Długość resztek wynosi **4 do 12 metrów** i każda resztka może być **jak najlepiej użytą.** Tysiączne podziękowania, które każdego roku napływają, świadczą najlepiej o dobroci i taniości towarów. Najmniejsza ilość zamówienia 40 metrów za koron 18 za pobraniem pocztowem.

S. Stein, tkalnia płócien, Nachod

Czechy.

Tanie pierze na pościel i puch

1 klg. szarego dartego K 2·—, lepszego K 2·40, półbiałego 1-a 2·80, białego K 4.—, 1-a miękk. jak puch K 6·—, najlepszego 1-a K 7·—, 8·— i 9·60. Puch szary K 6·— i 7·—, biały 1-a K 10·— Puch z piersi K 12·— od 5 klg. począwszy franko.

Gotowa pościel

z gęstego, czerwonego, niebieskiego, żółtego lub białego inletu (Nanking) 1 pierzyna około 180 cm. dług. 120 cm. szer. wraz z 2 poduszkami, każda około 80 cm. dług. 60 cm. szer. dostatecznie napełniona nowem szarem, puszystem i trwałem pierzem K 16·— półpuchem K 20·—, puchem K 24·— Pojedyncze pierzyny K 10·—, 12·—, 14·—, 16·—. Pojedyncze poduszki K 3·—, 3·50 i 4·—. Pierzyny wielk. 200X140 K 13·—, 15·—, 18.— i 20·—. Poduszki wielk. 90X70 cm. K 4.50, 5·— i 5·50. Piernaty z najlepszej dymki 180X116 cm. K 13·— i 15·— przesyła od K 10 franko za pobraniem lub za poprzedniem nadesłaniem gotówki

Max Berger, Deschenitz Nr. 190/4, Böhmerwald.

Bez ryzyka, ponieważ wymiana dozwolona, lub zwrot pieniędzy. Bogato illustr. cenniki wszelkiej pościeli darmo.



Zakład artyst.-kamieniarski i budowlany

Józefa Kuleszy

naprzeciw cmentarza w Krakowie

Telefon 1359.

posiada wielki wybór gotowych pomników z piaskowca, granitu i marmuru.

Podejmuje się wykonania grobowców w miejscu i na prowincyi.

ZAKŁAD

plisowania i gufrowania i obciąganie guzików.

Kraków, Grodzka 60

Parter B.

Moczenie pościeli.

Ochrona natychmiastowa! Podać wiek i płeć. Informacye zadarmo Sr. Pfaller, Nürnberg S. 814 (Bay.)

„HOTEL BELVEDERE"

Tel. Nr. 537 **Kraków, ul. Basztowa 27** (róg ul. Pawiej)

tuż obok dworca kolejowego i Teatru miejskiego

Wszelki komfort. — Wspaniały widok na miejskie plantacye. — Przystanek kolei elektrycznej

CENY NIZKIE.

KAWIARNIA i RESTAURACYA.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madeiskiego